Nr. 6 (1413). Warszawa, 8 Lutego 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: **Wspólna Nr. 17. Telefonu 7388.**

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Uruchomienie społeczeństwa

Trzeba uznać i do rachunków naszego życia wciągnąć smutny fakt, który przez pewien czas pokrywały mgły złudzeń, a który obecnie stanął przed nami zupełnie odsłonięty: suma energii kulturalnej, którą wydobyliśmy z siebie po uzyskaniu większej swobody działania, nie odpowiedziała przypuszczeniom i nadziejom poprzedniej epoki w której byliśmy skazani na zupełny bezwład. Wierzyliśmy wszyscy mocno, że gdyby tylko warunki zewnętrzne otworzyły nieco szersze ujście naszym pracom i zabiegom, wylałaby się tem rozwarciem taka masa sił czynnych, że one wkrótce przetworzyłyby i nowymi pierwiastkami zbogaciły cały ustrój społeczeństwa. Po dwu latach doświadczenia widzimy, że to było tylko piękne rojenie. Największa ilość tej energii wyładowała się w przedsięwzięciach rewolucyjnych, burzycielskich, zamętnych i bandyckich, natomiast ruch twórczy i organizacyjny objawił się słabo i rozwija się wolno.

A sama jego istota wewnętrzna przedstawia jeszcze większe ubóstwo, niż oznaki zewnętrzne. Na mocy ustawy z r. 1906 zalegalizowano w guberni warszawskiej (która przewyższa swą żywotnością wszystkie inne) do 1 października r. z. 165 stowarzyszeń i związków zawodowych. W rozdziale na grupy największa ilość (31) przypada na stowarzyszenia zawodowe, dalej idą robotnicze (27), towarzystwa i kasy wzajemnej pomocy (14), rolnicze (12), oświatowe (10) i t. d. Może takie rozgałęzienie dążeń narodu niezupełnie godziło się z jego potrzebami; może liczba zrzeszeń w niektórych guberniach była zbyt mała (w radomskiej 36, w łomżyńskiej 35, w suwalskiej 11 itp.): ale nawet te organy pracy społecznej wytworzyłyby niewątpliwie dużo dobra i pożytku, gdyby ich działalność była dostatecznie natężoną a nadewszystko, gdyby była rzeczywiście zbiorową. Niestety, tak nie jest. Nasze badania i spostrzeżenia przekonywają, że we wszystkich instytucyach, które zrodziły się z zapału i potrzeby czynu, oswobodzonego od skrępowań zewnętrznych, po chwilowych mocnych wybuchach ogień przygasł i płonie tylko w goretszych jednostkach. I to właśnie jest objawem najsmutniejszym. W okresie ucisku i niemocy, kiedy nawet wszystka krew naszych żył była ścięta mrozem strasznej zimy, zdawało się nam, że niech tylko zaświeci i przygrzeje najsłabsze, chociażby jeszcze nierozpowite z chmur słońce, cała niwa naszego życia natychmiast zazieleni się, zadrga tętnem sił potężnych i płodnych, że my tłumem pospieszymy do uprawiania jej, że raczej zbraknie miejsca dla skwapliwych rąk, niż chętnych do pracy. Omyliliśmy się. Długa niewola sparaliżowała nas. Przy każdym warsztacie, przy każdym pługu społecznym widzimy bardzo niewielu robotników, którym ogół przypatruje się biernie, obojętnie, czasem klaszcze a częściej na wołanie o pomoc odpowiada ziewaniem. We wszystkich, z takiem uniesieniem założonych stowarzyszeniach — oświatowych, zawodowych, robotniczych, artystycznych—osiadła martwa cisza, przerywana rozpaczliwym krzykiem budzących ospałość i podniecających lenistwo. We wszystkich maszynach pracy społecznej koła obracają się wolno lub stoją nieruchomo. W samej Warszawie posiadamy około 90 czasopism, między któremi dziesiąta część nie pokrywa prenumeratą swych kosztów i których abonenci ciągle zmniejszają swój zastęp. Mamy w samej Warszawie 167 drukarń próżnujących i 271 księgarń oczekujących poprawy od miłosierdzia losu. Mamy w kraju 200 kilkadziesiąt nowych towarzystw, których członkowie ani razu nie widzieli się nawet w połowie swej liczby i których zarządy daremnie pobudzają ich do czynu. Mamy kilkanaście zorganizowanych wykładów popularnych, na które trzeba usilną namową ściągać słuchaczów. Słowem, nasza nawa społeczna z burzliwej głębi wpadła teraz na skalistą mieliznę, z której nie może się wydostać na prąd wartki.

Nie lekceważąc tam i utrudnień pracy społecznej ze strony jej warunków zewnętrznych, trzeba przyznać, że za wiele i za często usprawiedliwiamy ich wpływem naszą ociężałość. Za pobłażliwie również rozgrzeszamy się z niej brakiem czasu, pochłoniętego obowiązkami zawodowymi i niemożnością zaoszczędzenia go dla bezpłatnej służby publicznej. Pamiętajmy, że prawie cały samorząd Anglii dokonywa się taką służbą, że tam około pół miliona obywateli pracuje bezinteresownie w radach i komisyach parafij, hrabstw, okręgów i t. d. i nie myślmy wcale, ażeby nasza ofiarność trudów dla instytucyj społecznych dorównywała tej, którą poświęcają narody kulturalne.

Pierwszą tedy potrzebą i koniecznością naszego życia jest uruchomienie i powołanie całego społeczeństwa do udziału w rozwoju kultury narodowej. Jednostkowe wysiłki mogą nam dać szereg przykładów cnoty i zasługi obywatelskiej, ale nie dadzą wielkiej sumy dorobku duchowego i materyal-

nego, który może być zdobyty tylko siłami zbiorowemi. Stworzenie uprawnienie i powierzenie umiejętnemu kierownictwu jakiejś instytucyi, opracowanie ustawy i wybranie zarządu — jeszcze niczego nie zapewnia. Jeśli życie narodu jest pracą i walką to ani pierwsze nie może być dokonane przez samych przewodników, ani druga przez samych wodzów. Kultura jest wynikiem pracy i walki całej masy społecznej.

(przedruk z *Kultury polskiej*).

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król portugalski Karol I wraz z następcą tronu zabici zostali w Lizbonie 1 b. m. Królobójstwa dokonano w warunkach następujących: Król z rodziną wracał o godz. 6 wieczorem w odkrytym powozie z Villa-viciosa do Lizbony, gdy powóz skręcał na ul. Arsenałową grupa osób uzbrojonych w karabiny i browningi dała szereg strzałów do jadących. Króla wyniesiono trupem z powozu, następca tronu zmarł w 5 minut, królowa Amalia wyszła cało, infant Manuel został lekko ranny. Trzech sprawców zamachu zabito na miejscu, osobistość tylko jednego stwierdzono. — Z wrzenia, od dłuższego czasu nurtującego Portugalię, wynikł zamach na króla; Dom Karlos nie liczył się z ruchem wolnościowym, jaki ogarnął szerokie warstwy jego poddanych, mniemał, że żelazna ręka dyktatora Franco stłumi pragnienie rządów liberalniejszych; drakońskie zarządzenia dyktatora i nieugiętość króla wytworzyły jeszcze podatniejszy grunt do agitacyi rewolucyjnej. Depesze z dni ostatnich donosiły o licznych demonstracyach, starciach z policyą i aresztowaniach; 1 b. m. ogłoszony został dekret królewski dotyczący osób, które miały być wydalone z granic kraju, dekret znosił również nietykalność członków parlamentu. Tron objął infant Manuel, liczący lat 19, urzędnicy i żołnierze we wszystkich załogach złożyli przysięgę na wierność. Manuel II potwierdził zrazu pełnomocnictwo gabinetu Franca, nad republikanami policya roztoczyła ścisły nadzór. W wydanym manifeście król przysięga że bronić będzie religii rzymsko-katolickiej, nietykalności państwa; przyrzeka ulegać konstytucyi i gwarantować jej poszanowanie.

Ustawa o wywłaszczeniu przeszła do izby panów, pierwszy przemawiał kardynał Kopp, krytykując posługiwanie się środkami wyjątkowymi przez państwo, podobne stanowisko zajęło kilku innych mówców; bronili projektu Bülow, dalej ministrowie skarbu, sprawiedliwości i rolnictwa oraz nadburmistrz Frankfurtu, Adickes, poczem izba przekazała projekt komisyi. *Kreuz Ztg.* stwierdza, że w izbie istnieje prąd przeciwny ustawie, większość skłonna jest od rzucić ją, natomiast uchwalić większe środki finansowe na kolonizacyę. Przekazanie projektu komisyi zaniepokoiło sfery rządowe, — gdyż większość komisyi jest przeciwna ustawie. Parlament obradował nad projektem powiększenia floty, przeciw przemawiał Bebel i kilku innych socyalnych demokratów.

Komisya dla spraw zagranicznych delegacyi rozpatrywała budżet austryackiego ministeryum spraw zagranicznych, kilku mówców wyraziło zadowolenie z powodu utrzymania trój-przymierza. Głąbiński mówił o postępowaniu rządu pruskiego względem Polaków i krytykował pogląd jakoby trójprzymierze było dziś gwarancyą zachowania ogólnego spokoju.

Dyskusya nad interpelacyą w sprawie marokańskiej w izbie deputowanych francuskich zakończona została przyjęciem następującej formuły przejścia do porządku dziennego: Izba zdecydowana jest wprowadzić w życie uchwały konferencyi w Aalgeciras bronić praw i interesów Francyi w Maroku bez wtrącania się do polityki wewnętrznej tego kraju, uznaje oświadczenie rządu, wyraża swoje uznanie oficerom i żołnierzom walczącym za Francyę". Izba przyjęła powyższe formułę, odrzucając wszelkie poprawki większością 436 głosów przeciw 51.

W angielskiej izbie gmin toczyły się obrady nad odpowiedzią na mowę tronową; mówcy radykalni żądali wprowadzenia reform w Indyach, jak sejmów prowincyonalnych i parlamentu wszechindyjskiego. Sekretarz stanu odpowiadając wyraził przekonanie, że stosowanie europejskich systemów rządu w Indyach byłoby łudzeniem siebie samego.

W nowym bułgarskim ministeryum utworzonem przez demokratów przywódca partyi, adwokat Malinow został prezesem ministrów,

Roosewelt wystosował do kongresu podanie, w którem żąda rewizyi praw o odpowiedzialności przedsiębiorców, powierzenia komisyi handlu związkowego kontroli nad towarzystwami kolejowemi, oraz przedsiewzięcia środków przeciw grze na giełdzie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

O spadek po Macierzy. Połów martwych dusz Echa zjazdu Kółek Rolniczych im. Staszica. Objawy rozstroju. Sielanka.

Po puściznę po Macierzy liczne wyciągają się ręce. Korespondent *Dziennika Poznańskiego* z Królestwa w swoim czasie pisał: „Stronnictwo umiarkowane, zwane partyą polityki realnej, zawiązać chce stowarzyszenie, któreby przejęło na siebie szkoły Macierzy. Niezależnie od tego pragnąłby w tym duchu uczynić także coś Związek katolicki. Jednakże realiści posiadają w tej mierze więcej szans, więcej stosunków i wpływów, a także i środków. Z tej strony sondowano już usposobienie i opinię władz miejscowych". Natychmiast niemal po zawieszeniu Macierzy zgłosił się drugi spadkobierca: Związek

CIEKAWE DZIEJE.

(Dokończenie).

Z Taurycu wyruszył Vambery w drogę do Teheranu, przyłączywszy się do kompanii Kudrów i Arabów, wędrownych opowiadaczów świętych elegii, którzy przy nieustannym akompaniamencie całych potoków łez, opiewali tragiczne losy męczenników Hasana i Husejna. Oczywiście byli to zwykli wyzyskiwacze, którzy oprócz handlowania wiarą inną mieli jeszcze specyalność: jako przewodnicy, oprowadzający Persów za wysokie i brane z góry wynagrodzenie po świętych miejscach, zawierali oni równocześnie umowę z rozbójnikami-Beduinami, którzy napadali w drodze na karawanę i — rzecz prosta — dzielili się z tamtymi zebranym łupem.

W tej kompanii przybył wreszcie Vambery do Teheranu, skąd ruszył dalej do Ispahanu Szyrasu i Tersepolu. Przez tureckich swoich przyjaciół zapoznał się on w Teheranie z wieloma ludźmi wybitnymi, został przedstawiony szachowi, dzięki czemu przed wyruszeniem w drogę do południowej Persyi otrzymał list żelazny, wydany na imię „Poddanego państwa Otomańskiego, Reszida Effendi". Ani jednemu z licznych persów starających się nawrócić „sunitę" Vamberego na „jedynie prawdziwą" drogę szyityzmu, nie przychodziło nawet na myśl, że stali się nieczystymi („nedii") przez dotknięcie europejczyka („frengi"). Biedni uczeni teologowie perscy argumentowali — pisze podróżnik cały czas z zaklętym wrogiem wszelkiego uświęconego przez kościół dogmatu".

Po powrocie z południowej Persyi postanowił przedsięwziąć podróż do Buchary, mimo iż zapewniano go o stanowczej niemożliwości podobnej przeprawy ze względu na wojnę, toczącą się w owym czasie na północo-wschodzie Persyi i czyniącą drogę przez Merw zupełnie niedostępną.

Poselstwo tureckie, dowiedziawszy się o zamierzonej podróży Vamberego w towarzystwie karawany napół dzikich obterwańców tatarskich, powracających z pątniczej wycieczki do grobu proroka, uważało zuchwałego podróżnika za straconego bezpowrotnie. Przyjaciel Vamberego, poseł turecki, zawezwał do siebie przywódcę karawany, obdarował go suto i błagał o opiekę nad podróżnikiem, a nadto dał temu ostatniemu dokument ochronny, w którym nazywał go „Chadżą Mahometem Reszidem Effendim". Tytuł „chadżi" wielce czczony jest na Wschodzie, jako nadawany jedynie prawowiernym, którzy zwiedzili Mekkę. Wydanie dokumentu takiego człowiekowi, o którym poseł wiedział, że nietylko nie był w Mekce, ale nie jest nawet muzułmaninem, słusznie uważa Vambery za dowód nietylko wielkiej dobroci, ale zarazem niezwykłej tolerancyi religijnej. — „Wątpię — pisze on—czy którykolwiek z oficyalnych przedstawicieli kulturalnych państw europejskich zdobyłby się na czyn podobny w stosunku do mahometanina".

Jak wielkiem było niebezpieczeństwo, na które dobrowolnie narażał się śmiały podróżnik, świadczą pigułki strychniny, dane mu na drogę przez lekarza austryackiej ambasady celem ewentualnego uratowania go od powolnej śmierci męczeńskiej!

Utykający mocno na nogę, Vambery zmuszony był olbrzymie przestrzenie przebywać pieszo. Męki głodu, nieludzkiego gorąca, nieprawdopodobnie trudnych dla Europejczyka warunków bytu derwisza-włóczęgi potęgowało nadto nieustanne, straszliwe napięcie nerwów. Dniem i nocą myśleć musiał o tem, aby nie zdradzić się słowem, ani gestem. Najsłabsze podejrzenie, jakie zrodzić mogłoby się w umysłach towarzyszów, groziło mu niechybną śmiercią. Na szczęście swoje jednak posiadał on niepospolity dar naśladowczy, dzięki któremu rychło wcielił się do niepoznania w postać derwisza z Kokanu lub Kaszgaru.

Nie cofał się w tym celu przed niczem. Jadał jak inni, palcami z ogólnej misy ryż okraszony w braku tłuszczu świecą łojową. Miał jak inni ręce brudne, całe okryte ranami; łachmany, służące mu za odzież, roiły się tysiącem żywych stworzeń. Rolę

katolicki ogłosił w organie swym *Polak-Katolik* odezwę, wzywającą do tworzenia wszędzie oddziałów Związku w celu zastąpienia szkół Macierzy przez szkoły Związku Katolickiego. W odezwie tej czytamy: *A niechby raczej przepadła oświata ludu, aniżeliby się miała dostać pod kierunek lubelskiego „Światła" lub warszawskiej „Kultury"...*"! Trudno o bardziej charakterystyczne credo. „Oto nareszcie — pisze z tego powodu *Kuryer* lubelski — jasny i szczery okrzyk księdza-analfabety. Okrzyk ten przechodzi tak gładko przez usta tego apostoła ciemnoty, iż czujemy wyraźnie, że zbytnioby się nie martwił brakiem oświaty ludu ten krzykliwy klerykał. Bo pocóż ludowi naszemu oświata, wszak księża nietylko za lud się modlą, ale i myślą za niego, więc na cóż mu nauka. Gotówby jeszcze lud ten wdawać się w rachunki parafii, gotówby jeszcze zamarzyć o ujęciu w swe ręce swoich interesów moralnych i materyalnych. Więcej niebezpieczeństwa niż pożytku widzi kler w oświacie, lecz skoro tego pędu już zdusić nie można, to trzeba go okiełzać, obsypać groblami ten strumyk i zwęzić do rozmiarów w sam raz na użytek kościelny, by ten poczciwy kmiotek mógł sobie przeczytać, zawsze pod kierunkiem proboszcza, książkę do nabożeństwa lub żywot św. Zyty". Gdyby to się udać nie miało, gdyby ten potok miał grozić zalewem — plebanii, to niechaj raczej przepada oświata ludu. Takie wyznanie realistom dałby mogło skuteczną broń w ręce do zwalczenia współzawodnika. Tymczasem w parę dni po ogłoszeniu owej znamiennej odezwy czytamy w warszawskiem *Słowie*: „Jeżeli charakter wyznaniowy tego stowarzyszenia (Związek katolicki) może zniechęcać do niego zwolenników niczem nieskrępowanej swobody w dziedzinie zdobywania wyższej oświaty, to chyba na „plus" tylko zapisanym być może tam, gdzie chodzi prawie wyłącznie o wykształcenie elementarne, z którem przecie koniecznie musi iść w parze zakładanie i troskliwe pielęgnowanie podstaw moralnych w wychowaniu... Ponieważ instytucye te założone zostały w przeważnej większości dla ludności katolickiej, niema więc chyba żadnej przeszkody, aby te właśnie instytucye oddane zostały pod egidę stowarzyszenia katolickiego. Dlatego śmiem twierdzić, że Związek katolicki daje niezrównie większe rękojmie, że te instytucye, zwłaszcza funkcyonujące po wsiach, poprowadzi w myśl założycieli, aniżeli np. Tow. Kultury polskiej, mające analogiczne zadania". Między amatorami spadku nastąpiło więc porozumienie, stronnictwo mające więcej widoków, więcej stosunków i wpływów zrezygnowało z chęci realizowania swych praw pierwszeństwa i dopuściło do podziału Związek katolicki. Jak argumentacya *Słowa* wskazuje, realiści chcieliby wziąć pod swą opiekę wyższe uczelnie, Związek zaś ma roztoczyć skrzydła opiekuńcze nad wiejskiemi szkółkami. Porozumienie nie było tak trudne; obu pretendentom nie o oświatę właściwie chodzi, lecz o co innego, w przeciwnym razie bowiem rękojmie, jakie daje Związek, nie musiałyby być większemi od rękojmi, dawanych np. przez Tow. Kultury pol., gdyż *Słowo* chyba nie przypuszcza, by w instytucyach T. K. P. miano gorzej uczyć czytać i pisać, niż w instytucyach Związku katolickiego. Chodzi o zakładanie właściwie owych podstaw moralnych — grobli, by potok nie groził zalewem. I w tym względzie organizacye katolickie dają istotnie gwarancye, że odwrócić potrafią niebezpieczeństwo zalewu od plebanii i dworu zarówno. Przyszedł do skutku sojusz naturalny, skojarzony wspólnym interesem. W zwartych szeregach idą dawni współzawodnicy pod hasłem: „Bóg i Ojczyzna". *Kuryer* lubelski pisze: „Nadchodzi zaraza, ta która wyhodowała nam Targowicę, z tem samem faryzeuszowskiem hasłem. Nadchodzi — i oto główny ich gardłacz w chwili szczerości odkrył swą przyłbicę. A niechby raczej przepadła oświata ludu. Ale wy odpowiedzcie mu tak: A niechby raczej przepadły te usta, które śmiały wypowiedzieć takie bluźnierstwo względem świętego Ducha Narodu Polskiego".

Związek katolicki rozpoczął wogóle w ostatnich czasach bardzo ożywioną działalność. *Płoczczanin* donosi: „Od pewnego czasu obchodzi mieszkania ks. Szelążek w asyście nauczyciela p. Broniewskiego i po krótkiej, konwencyonalnej rozmowie panowie ci proponują przystąpienie do Związku katolickiego. Zdumienie ogarnia zaskoczonego tą propozycyą, bo on ze związkiem katolickim nic nie ma nic wspólnego, nie jest właściwie katolikiem, jak się patrzy, jest sobie takim z imienia, ćwierć, czy nawet mniej jeszcze katolikiem. Więc wymawia się, wykręca, jak może, tłomaczy się, nie ma odwagi odmówić księdzu wręcz, bo to wiadomo wszystkim na prowincyi, jak niebezpieczną rzeczą jest narazić się księdzu. Zazwyczaj więc pozwala się zapisać na członka i płaci zaraz na miejscu należną składkę. W ten sposób złowiono już wiele martwych dusz, zapisani zostali tacy, którzy w przeddzień jeszcze głosili zasady, niemające nic wspólnego z katolicyzmem". Przy tego rodzaju metodach zyskiwania członków Związek katolicki stać się oczywiście może w krótkim czasie liczebnie najsilniejszą u nas organizacyą, by jednak te zastępy martwych dusz zamienić w kadry bojowe trzeba będzie rozwinąć terror do doskonałości. Aparat zresztą dziś już nieźle funkcyonuje, jak informuje *Płoczczanin* w końcowych uwagach. „Dużo możnaby powiedzieć — czytamy tam — o terrorze, jaki na wszystkie dziedziny życia stara się wywrzeć kler. Życie staje się wprost nieznośnem w takich stosunkach, zwłaszcza, że kler walczy z przeciwnikami swymi nietylko otwarcie z ambony, która od pewnego czasu stała się areną walki z przeciwnikami wszelkiego rodzaju, ale i skrycie, potajemnie i zazwyczaj bardzo nie po chrześciańsku".

Powstaje u nas rzeczywisty ruch ludowy. Odrzucając wszelką partyjność, z wyraźnie postawioną dewizą: „Sami sobie" chłop nasz wyzwala się coraz więcej z deprawujących go wpływów różnych dotychczasowych opiekunów i dobrodziejów. Odczuwając brak duchowej łączności, nie mając gdzie swych krzywd i bólów wypowiedzieć zakłada swój organ, swoją prawdziwie i szczerze ludową *Siewbę*. Świadom potęgi zrzeszeń, organizuje „Kółka Rolnicze im. Staszica". W innem społeczeństwie ruch ten za chlubę byłby poczytany; okazywanoby mu pomoc, przyczynianoby się do jego rozwoju. U nas, nasza narodowa prawica, hołdując zasadzie — kto nie z nami, ten przeciw nam, jadem fałszu, kłamstw i oszczerstw ruch ten w zarodku zabić, unicestwić się stara. „Echem przeraźliwem — pisze w *Siewbie* chłop z nad Rządzy — od granic do granic kraju naszego odbił się pamiętny walny zjazd członków Tow. Kółek rolni-

---

swoją fanatyka grał tak doskonale, że towarzysze widzieli w nim świętego z dalekiego Zachodu i nadzwyczajną otaczali go czcią. Raz tylko w drodze do Chiwy, jeden z towarzyszów podróży który pozostawał dłuższy czas w niewoli angielskiej, a stąd znał dobrze europejczyków, kategorycznie oświadczył Vamberemu, że jest on przebranym szpiegiem, i z chwilą, gdy przybędą do Chiwy, potrafi rozpalonem żelazem wydostać z jego ust prawdę. Nadzwyczajna przytomność umysłu i umiejętność panowania nad sobą uratowały jednak nieustraszonego podróżnika w chwili, kiedy wezwano już kata.

W ten sposób, znosząc nieprawdopodobne męki głodu, pragnienia podczas tropikalnych upałów, fizycznego wyczerpania, a przedewszystkiem nieustannego niebezpieczeństwa życia, obszedł Vambery całą Azyę Środkową; jest on pierwszym europejczykiem, który od południowego brzegu morza Kaspijskiego dotarł przez Hirkańską pustynię do Chiwy, stąd przez piaszczyste stepy do Buchary, a potem do Heratu. Już to samo zapewniło mu sławę rozgłośną; co ważniejsze jednak, udało mu się w ciągu niezwykłej tej podróży zebrać cenne rękopisy i wzory wschodnio-tureckich języków, będące nowością dla świata nauki. Dodać należy, że wszelkie spostrzeżenia swoje zmuszony był notować ukradkiem na świstkach papieru, ukrywanego najstaranniej pod podszewką zwierzchniej odzieży.

Dotarłszy wreszcie z powrotem do Teheranu, gdzie tymczasem rozeszła się wieść o jego śmierci w Bucharze, doznał entuzyastycznego przyjęcia ze strony kolonii europejskiej. Nadzwyczajne wyczerpanie zmusiło go do pozostania w stolicy Persyi przez czas dłuższy, z którego skorzystał, aby, na podstawie zebranych notatek, ułożyć dokładne sprawozdanie z podróży, zilustrowane możliwie dokładnie narysowaną mapą. Pizez ostrożność napisał sprawozdanie to arabskiemi literami po węgiersku.

W maju 1864 r. powrócił nakoniec do kraju ojczystego. W Teheranie, Konstantynopolu, a potem w Londynie widziano w nim znakomitego oryentalistę, któremu udało się dokonać jedynego w swoim rodzaju czynu bohaterskiego, dla ojczyzny swojej jednak nie przestał być Herszkiem żydkiem, dzieckiem nędzarzy. Zamiast też przyjęcia entuzyastycznego, jakiego miał prawo spodziewać się, spotkała go głucha obojętność. Na posiedzeniu węgierskiej akademii nauk, na którem zdawał sprawę z wyników swojej podróży, sala świeciła pustkami. Opowieść Vamberego przyjęto z niedowierzaniem, współpracownicy niektórych gazet drwili wprost z „żydka", podając w wątpliwość sam fakt jego podróży, a nawet jego znajomość języka tureckiego.

Widmo głodu stanęło przed nim znów w całym tragizmie. Licho opłacane lekcye były ponownie jedynym środkiem jego utrzymania. Wyznanie uniemożliwiało mu zajęcie katedry uniwersyteckiej.

Rozgoryczony, postanowił próbować szczęścia w londyńskiem towarzystwie geograficznem. Węgierska akademia nauk, do której zwrócił się z prośbą o zapomogę, zdecydowało się na pożyczenie mu 200 guldenów, jednakże tylko pod zastaw rękopisów, jakie przywiózł z Azyi Środkowej. Wyobrazić sobie też można, jak wielkiem było zdziwienie przedstawicieli nauki węgierskiej, gdy wkrótce po przyjeździe Vamberego do Londynu, cała prasa angielska uderzyła jednogłośnie w dzwon tryumfu na cześć bohaterskiego uczonego. Autorytet towarzystwa geograficznego stwierdził i uwiecznił wielką naukową i praktyczną doniosłość jego podróży. Królowa angielska, książę Walii i cały wielki świat londyński gościli go na przemian u siebie. Sława jego ustaliła się na dobre. Wówczas dopiero zrozumiały Węgry, że mimo semickiego pochodzenia Vamberego, mogą być z niego prawdziwie dumne, to też wnet po powrocie jego z Londynu do rodzinnego Pesztu ofiarowano mu katedrę języków wschodnich w uniwersytecie tego miasta. Katedrę tę zajmuje on do dnia dzisiejszego.

Jednakże bądź przez wdzięczność dla Anglii, która pierwsza potrafiła wznieść się po nad wszelkie uprzedzenia i ocenić należycie jego zasługi, czy też przez mające inne źródło specyalne sympatye anglofilskie pisuje on najchętniej po angielsku. W tym też języku napisaną została rozpatrzona powyżej ciekawa jego autobiografia.

R. C.

czych im. Staszica. Najpierw panowie endecy w *Gazecie codziennej*, podług swego zwyczaju, wystąpili z najrozmaitszemi obelgami, potwarzami; ale nas to tyle obchodzi, co przezwiska wiejskiej baby złośnicy, z którą żaden porządny człowiek się nie liczy, nie stara się jej przekonać, bo by chyba musiał się stać głupcem, jak ta baba". Dalej omawia autor wystąpienie *Słowa* i *Dziennika powszechnego*, kończąc swe uwagi apostrofą następującą: „O głupi i leniwego serca ku wierzeniu temu wszystkiemu, co nas zgrupowało przy wspólnej pracy. Wy, pomimo nauk, niedalekoście zajechali; wy pragniecie widocznie, abyśmy i my za waszym przykładem, byli sobie wzajemnie wrogami. Nie! Tego się nie doczekacie, my potrzebujemy czego innego. To też zostawimy was na boku, jako gruz zbutwiały, niepotrzebny, pójdziemy tą drogą, którąśmy sobie obrali... Tak, to jest „robota piekielna". Chłop jak mówi *Gazeta codzienna*, powinien pracować i wierzyć siedząc pod piecem, — tak, w to wam graj, — ale pamiętajcie, że te czasy minęły bezpowrotnie, zginęły na wieki". Z dziwnem wrażeniem czyta się tę spokojną, pełną poczucia słuszności sprawy, odpowiedź chłopa na rozszalałe głosy naganki, rozlegające się z kazalnic, łamów pism, kółek i stowarzyszeń religijnych. Budzi się przeczucie, iż po za nami powstaje nowa, nieznana dotychczas siła, świadoma swej potęgi i dróg odrębnych. „Łotrem byłbym, zdrajcą ojczyzny, gdybym w imieniu religii nie gromił tych pism i stowarzyszeń", woła patetycznie pewien kaznodzieja. Na to płynie spiżowa odpowiedź w *Siewbie* O. Antoniego Wysloucha: „Zaledwoś głowę podniósł z wiekowego snu i oczy Twe łzami krzywd odwiecznych zwilgotniałe do słońca obróciłeś, co nad potem i krwią twą zroszonymi łany podnosi się złote—i ręce Twe potężne wyciągnąłeś do czynu — Ty ludu polski—a już trwoga napełniła serca wielu... I strach nędzny marne ściska ich serca, zamiast by serca te zabiły radością, rozszerzyły się nadzieją, że nie zginęła Ojczyzna, skoro jej lud żyje. A ci i owi — co przebudzenie się ludowego olbrzyma widzą — małoduszni głupi, jadem oszczerstw, kłamstw, szkalowań, bluźnić tej świętej śmią chwili... Ale Ty ludu polski, co zniosłeś już tyle, i wycierpieć tyle potrafiłeś, Ty im to przebacz. Oni, nie wiedzą, co czynią. I nie złego są pewnie serca, ale małej duszy. Ty, co zniosłeś już tyle — i to z królewskim znieś spokojem. I nie patrz nawet na nich—niechaj krzyczą. Bo to psa szczekanie—na świętą procesyę". Wyjątki te nie oddają piękna całości artykułu O. A. Wysloucha dziwnie harmonizującego z ogólnym tonem *Siewby*; pismo to jest oknem, którędy wchodzi słońce wiosenne nowego dnia.

Delator z *Gazety Codziennej* twierdził niedawno, że O. Wysloucha wybrano wbrew jego woli do zarządu kółek im. Staszyca, a jeśli on nie protestuje, to dlatego, że władza duchowna zakazała mu „podawać do druku" pisma, czy artykuły. Świeżo ogłoszony w *Siewbie* wyżej cytowany artykuł wskazuje, że O. Wysłouch zakazu „podawania do druku" pism i artykułów nie uznaje.

Riecz, znana z puszczania w świat masy błędnych informacyj o Królestwie Polskiem, pomieściła niedawno wiadomość, że frakcya rewolucyjna p. p. s." przekształciła się w „Robotniczą Polską Partyę Socyalistyczną". Wiadomość ta, powtórzana została przez prasę polskie. W rzeczywistości sprawa przedstawia się następująco: wyszedł Nr. 1. *Głosu Robotników* organu Robotniczej P.P.S. dowiadujemy się zeń, że jedna z dzielnicowych organizacyj warszawskich fr. rew. z powodu „zawieszenia wybitnych jednostek przez wyższe ciała" utworzyła odrębną partyę przybierając wyżej wymieniona nazwę. Z numeru pierwszego „G. R." trudno niezmiernie wyrobić sobie pojęcie, jakie są zasady tej nowej „partyi robotniczej", wszystkie bowiem artykuły pisane są tak nielogicznie, zdania następują po sobie bez związku, jedno przeczy drugiemu, że z trudem jeno wydobyć się daje kilka zasad. Otóż partya powinna być czysto robotniczą i we wszystkich ciałach kierowniczych, począwszy od najniższych, skończywszy na najwyższych, powinni zasiadać sami tylko robotnicy. Udział inteligencyi w ruchu robotniczym, podług nowej „partyi" pociągnął niezmiernie smutne skutki: inteligencya zaprzepaściła ruch, wywołał rozłam, co więcej inteligencya dla względów konkurencyjnych zawieszała wybitne jednostki i rozwiązywała komitety dzielnicowe. Za te wszystkie przewinienia zdawałoby się, że inteligencya skazana zostanie bezpowrotnie na wygnanie, tymczasem okazuje się, że zostanie ona wyłączona tylko z ciał kierowniczych i zesłana na osiedlenie do specyalnie dla niej wytworzanej „czerty osiedłości" w „dzielnicowym komitecie inteligenckim". Znajdujemy dalej artykuł o terrorze ekonomicznym, jest on jednak tak bałamutnym, że trudno z niego wywnioskować, czy nowa „partya" uznaje terror ekonomiczny, czy też nie — są tam bowiem próby argumentów „za" i „przeciw". Niedwuznacznie zato wypowiedzianą jest w „G. R." zasada autonomii organizacyj dzielnicowych, „finansowa" i „bojowa": fundusze w wysokości 80% należą do dzielnicy, każda dzielnica posiada własną bojówkę. Możnaby nad całą tą partyą przejść swobodnie do porządku dziennego, gdyby zasady przez nią głoszone nie odpowiadały w sposób fatalny poglądom dziś górującym w szerokich masach robotniczych. Niechęć do inteligencyi jest obecnie bardzo rozpowszechniona wśród najciemniejszych warstw proletaryatu; argumenty za terrorem ekonomicznym teraz w okresie ogólnego odbierania klasie robotniczej zdobyczy ekonomicznych z ostatnich lat walki, trafią do przekonania mas rozgoryczonych. Pojawienie się tej „partyi robotniczej" jest symptomem charakterystycznym wewnętrznej reakcyi w szeregach robotniczych, która w łonie samej klasy robotniczej jest odpowiednikiem szalejącej reakcyi zewnętrznej.

Wśród inteligencyi, prowincyonalnej przynajmniej zapanował popłoch. *Gazeta Radomska* pisze: Nieulega kwestyi, że ostatnie ciosy, jakie w końcu r. z. spadły na społeczeństwo, wywołały przedewszystkiem oszołomienie i powrotną falę owego panicznego strachu, który głębokie ślady wyrył w naszem życiu zbiorowem i przez długie lata był przyczyną ogólnej bierności i uśpienia. Wraz z popłochem, ucho uważnego słuchacza w rozgwarze krzyżujących się zdań bez trudności pochwycić zdoła nutę zasadniczego zwątpienia w przyszłość, nutę tak silnie dźwięczącą w społeczeństwie naszem po klęsce roku 1863. Wraz z wątpieniem przychodzi apatya. Ludzie słabego ducha opuszczają ręce i opróżniają zajęte stanowiska przy pługu pracy społecznej".

Sielanka, na zakończenie, która dowodzi, że nie wszelkie posterunki pracy dla dobra narodu bywają porzucane obecnie. Korespondent *Kuryera* lubelskiego donosi z Krasnegostawu: „Dnia 1 stycznia r. b. kosztem miasta urządzony był pożegnalny obiad dla konsystującego u nas od lat 20 Tauratyńskiego pułku. Pułk ten przeniesiony został do Zamościa. Nad sposobem uczczenia uroczystości, przeprowadzono wiele dysput, nie mało planów stworzono, ostatecznie zdecydowano się na obiad pożegnalny wieczorem, na co postanowiono wyasygnować z kasy miejskiej 400 rubli. Obywateli miasta reprezentowali p. p. Piechowicz, Błoński, Pasierbski i inni z prezydentem p. Kuleszą na czele. Obecni byli naczelnik powiatu, jego pomocnik i inni urzędnicy. Kiedy przybył szef pułku, orkiestra wykonała marsz powitalny. Muzyka i brzęk szkła usposabiały biesiadników do coraz to nowych toastów. Pierwszym utalentowanym z Bożej łaski krasomówcą był p. Piechowicz, drugim Błoński; obaj złotouści przejęci ważnością chwili, nie szczędzili dowodów uznania i sympatyi dla wyjeżdzających".

J. O.

Z Towarzystwa Kultury polskiej.

Na pierwszem zebraniu dorocznem Towarz. Kultury polskiej, które się odbyło w dniu 2 lutego r. b. mieliśmy przedstawione rezultaty jednorocznej działalności Towarzystwa. Z natury rzeczy musiała ona być przedewszystkiem organizacyjną, t. j. siły swe skupić w kierunku wytworzenia mocnej podstawy dla swego istnienia i dla spełnienia swych zadań.

„Ażeby te zadania odpowiednio rozłożyć — czytamy w sprawozdaniu — i różnokierunkowe prace sharmonizować, ażeby uniknąć rozbieżnych lub krzyżujących się dążeń, Zarząd często sam występował z inicyatywą i współdziałaniem w wielu przedsięwzięciach, które wchodziły w zakres pojedyńczych sekcyj, pomagając rozwijaniu się ich samodzielności. Łączność ta wyrażała się pod postacią wspólnych narad oraz komisyj, tworzonych dla określonych celów".

Jednym z pierwszych było założenie Domu ludowego w Warszawie. Zakrzątnięto się około spopularyzowania idei, zaczęto zbierać fundusze na budowę Domu; a tymczasem postanowiono otworzyć go w lokalu wynajętym; nie zdołano dotąd jednak znaleźć odpowiedniego na ten cel pomieszczenia.

Prócz Domu ludowego w T. K. p. powstała Komisya dla legalizacyi bezpartyjnych związków zawodowych robotniczych.; ustanowiony został płatny delegat obowiązany pouczać lud wiejski o potrzebie i pożytku zakładania instytucyj kulturalnych (szkół, kooperatyw, spółek, kas i t. p.); zawiązano koła do badania stanu i potrzeb Kultury polskiej we wszystkich jej dziedzinach i zbierania materyałów statystycznych; urządzono wykłady popularne z opłatą 10 kop. za wejście; ustanowiono raz w tydzień wieczory dyskusyjne dla członków, na których rozbierane są różne kwestye naukowe lub z bieżącem życiem społecznem związane. Sprawami wychodźstwa polskiego zajęła się też osobna komisya, która zawiązała stosunki z osobami mogącemi dostarczyć odpowiednich wiadomości.

Rozpoczęto zbierać bibliotekę, gromadzić wydawnictwa informacyjne dla wydziału mającego udzielać rad, objaśnień i wskazówek w obrębie Kultury polskiej.

Towarzystwo założyło swój własny organ, którego wyszły już dwa numery: wydało pocztówki i „Kalendarz".

Dochód Towarzystwa w ciągu roku sprawozdawczego wynosił rb. 19,621 kop. 38, wydatki — rb. 5,818 kop. 50.

Tak się przedstawia całoroczna jego działalność, a właściwie jego głównego Zarządu w Warszawie.

W ciągu tego roku Zarząd zalegalizował 27 oddziałów w miejscowościach:

1. Brwinów, 2. Ciechanów, 3. Chełmica, 4. Grodzisk, 5. Garwolin, 6. Jeziorna, 7. Józefów, 8. Kielce, 9. Kalisz; (organizuje się) 10. Łódź (organiz.), 11. Nowe Bródno, 12. Osówka, (niezorganizow.), 13. Pelcowizna, 14. Płock (niezorganiz.), 15. Pułtusk, 16. Piotrków, 17. Ryki (niezorganiz.), 18. Suchedniów, 19. Suwałki, 20. Siedlce, 21. Szadek, 22. Sobolew, 23.

Warszawa (I oddz., Koło popierania szkoły średniej), 24. Waliszew, 25. Wąchock, 26. Zakroczym, 27. Żyrardów.

Działalność oddziału warszawskiego zróżniczkowała się w trzech sekcyach: 1) społeczno-ekonomicznej pod przewodnictwem Aleksandra Świętochowskiego, prezesa całego Towarzystwa, 2) etycznej pod przewodnictwem p. Bolesława Rotwanda i 3) oświatowej pod przewodnictwem zrazu p. Maksymiliana Heilperna, ostatnio Dr. Zygmunta Kramsztyka.

W sekcyi etycznej powstał i opracowany został projekt sądu rozjemczego, zorganizowano komisyę zebrań towarzyskich, mających na celu szczepienie kultury etycznej i estetycznej.

Jak widzimy w Towarzystwie silnie zaznacza się dążenie do stworzenia dla swych członków tak szerokich ram życia, żeby w ich obrębie niemal wszystko dla zaspokojenia swych potrzeb umysłowych i duchowych znaleźć mogli.

W rozwoju swojem napotyka ono wielkie trudności tak ze względu na krępujące swobodę ruchów warunki stanu wojennego, jak zaciekłość i napaści partyjne oraz — czytamy w sprawozdaniu — bierność i bezczynność swych członków. Tem ostatniem niedomaganiem dotknięte są chronicznie wszystkie instytucye oświatowe i kulturalne w naszym kraju.

Energia i niezłomność kilku ludzi, czasem nawet jednego człowiek, broni je od popadnięcia w letarg zupełny; nieliczne ręce ciągną z trudem ciężki wóz pracy społecznej wśród szeregów bezmyślnie, martwo przypatrujących się ich wysiłkom.

List z Wiednia.

31 stycznia.

Minister oświaty Marchet stał się od kilku tygodni ulubieńcem uczącej się młodzieży szkół średnich a zwłaszcza tych, którzy w roku bieżącym mają zdać maturę. Ułatwienia przy maturze dostały się im całkiem niespodzianie, bo choć wiedziano, że ankieta w sprawie reformy szkół średnich ma się zająć i tem, jednak nie myślano, że to się stanie natychmiast i że tegoroczni maturzyści będą już z udogodnień korzystać. Udogodnienia te polegają na usunięciu piśmiennego tłomaczenia z języka wykładowego na łaciński i zastąpieniu tłomaczenia francuskiego dowolną kompozycyą w tym języku oraz na prawie używania słownika przy tłomaczeniach z łacińskiego i angielskiego; komisya egzaminacyjna wreszcie rozstrzyga, czy maturzysta ma być uwolniony od ustnych egzaminów całkiem, częściowo, czy wcale.

Ankieta o reformie szkół średnich przyniosła też i na innych polach wiele nowości; przedewszystkiem skonstatowano, że czas już największy na reformy i że z przestarzałego a istniejącego dziś systemu wszyscy są niezadowoleni. Nie połączono jednak, jak tego wielu żądało, gimnazyum ze szkołą realną, lecz postanowiono stworzyć trzeci rodzaj szkoły średniej, która ma otwierać drogę do uniwersytetów, techniki i wogóle wszelkich wyższych instytutów naukowych. Język grecki zniesiony będzie w tej nowej szkole a jego miejsce prócz łaciny zajmie jeden z języków nowożytnych. Główny nacisk przypadnie na realia, pomimo tego nowa szkoła od dotychczasowej realnej całkiem będzie różną.

Minister Marchet w krótkich słowach streścił uchwały członków ankiety. Uchwalono mianowicie niezależność nauczycieli, którzy dotychczas, uważani za urzędników, własnej opinii wobec swoich przełożonych mieć nie śmieli i w rozwoju swoim przez biurokratyzm byli wstrzymywani. Dyscyplina powinna być odpowiednią do wieku i nie obrażać poczucia godności ucznia. Zgodzono się także na to, że dotychczasowy plan nauk jest nader obciążony i że umysłów młodzieńczych więcej już obarczać nie można. Pozostawiono ku niezadowoleniu wielu dwustopniowość nauczania, czyli powtarzanie nauk z klas niższych w klasach wyższych: mineralogii np. uczą w trzeciej i piątej klasie, historyi w drugiej i szóstej itd. Powtarzanie to miało cel dawniej, kiedy ukończenie czwartej klasy dawało pewne prawa, dzisiaj to przeżuwanie nauki nie ma wielkiego sensu, chyba dla lepszego zapamiętania przedmiotu.

Dalej uznano, że dotychczas zamało wagi przywiązywano do opieki nad zdrowiem i fizycznym stanem uczniów i postanowiono zwrócić w tym kierunku uwagę kół kompetentnych. Sam minister Marchet oświadczył, że dotychczasowe przywileje, jakie przysługiwały abiturientom przy odbywaniu służby wojskowej, otrzymaniu urzędów itd. muszą absolutnie uledz zmianie, choćby też dlatego, żeby zapobiedz przepełnieniu szkół średnich uczniami, którzy nie mają zamiaru wstąpienia na uniwersytet lub ukończenia innej szkoły wyższej i poprzestają na gimnazyum w celu uzyskania pewnego ułatwienia w przyszłym swym zawodzie.

Reformy te jakkolwiek idą dość daleko nie zadowoliły wszystkich; podczas ankiety jakoteż po za nią odzywały i odzywają się głosy, domagające się innych zmian; są niezadowoleni, którym nie wystarcza szkoła średnia bez języka greckiego, chcieliby z niej wyrugować i łacinę. Dalej — a dziwnem, jest ze pomysł wyszedł z grona pedagogów niemieckich — żądano, by zarząd szkół nie był centralny i każdy z krajów koronnych sam układał swój plan szkolny. Żądanie to należy do najbardziej uzasadnionych; plan gimnazyów tutejszych stworzył bardzo coprawda zasłużony pedagog, lecz prusak, według planów istniejących wówczas szkół średnich pruskich; naturalnie, że miał przedewszystkiem na oku ludność niemiecką i jej interesa. Wskutek tego powstały takie dziwolągi, jak np.,że jednym z głównych przedmiotów jest nauka historyi tego kraju, w którym szkoła się znajduje. Galicya, jak wiadomo, żyje własną historyą dopiero od roku 1772; uczą jej młodzież zamiast historyi polskiej, która nie jest obowiązkową. To samo powtarza się na Bukowinie, której historya jest ściśle związaną z historyą Multan. Wszystkie takie niemożliwości pogodzenia rzeczywistości z planem szkolnym odpadłyby, gdyby kraj sam swój plan odpowiednio do żądań i usposobienia ludności układał.

Interim.

Z Argentyny.

W sprawie handlu żywym towarem

Nie było jeszcze kongresu w sprawie przeciwdziałania handlowi białymi niewolnicami, na którym nie mówiono by o Buenos Aires, jako o głównym rynku zbytu dla tego towaru. I trzeba przyznać, że twierdzenie to jest zupełnie słusznem.

Buenos Aires — największe miasto w Ameryce południowej, liczy przeszło milion dwieście tysięcy mieszkańców, w tem zaś tylko pół miliona kobiet. Bardzo drogie życie nie pozwala większości marzyć o zakładaniu własnej rodziny, więc popyt na żywy towar jest wielki. Niemało też przyczynia się do tego temperament zmysłowy południowców i znaczna liczba bogatych obszarników, czyli „estancieros", którzy często mają po kilkadziesiąt mil kwadratowych ziemi, przynoszącej doskonałe dochody i zarządzanej przez różnych majordomów, podczas gdy właściciele siedzą w stolicy i używają życia.

W Rio Janeiro i Montevideo rząd zajął się już oddawna walką z handlarzami kobiet i bardzo wielu powydalał. Przybyli oni do Buenos Aires i tu znaleźli odpowiedniejsze dla siebie miejsce. Handel szedł im doskonale, przywożono kobiety z Europy, przeważnie z Rosyi i Austryi i sprzedawano je prawie otwarcie, a cena wahała się między 500 i 1,500 pesos (400 i 1,200 rubli) zależnie od wartości towaru. W mieście istniały domy publiczne, w których czasem znajdowało się do 40 i więcej kobiet, bardzo często nieumiejących po hiszpańsku i przymuszanych okrutnie do oddawania się każdemu klientowi. Dopiero przed sześcioma laty powstało towarzystwo „Contra la trata de blancas", mające na celu zwalczanie handlu kobietami.

Przedewszystkiem postarało się ono o pewne zmiany w prawie krajowem, które pozwalało 18-letniej dziewczynie zapisać się jako prostytutka bez żadnych przeszkód, lecz zabraniało jej wyjść za mąż bez pozwolenia ojca albo opiekuna. I zdarzało się, że młode kobiety, nie mogąc wziąć ślubu przed skończeniem 22-ch lat, zapisywały się do prostytutek, by tym sposobem uwolnić się od niepożądanej opieki. Uzyskano tedy zmianę prawa. Obecnie przed ukończeniem lat 22 nie można zapisać się w urzędzie policyjnym jako prostytutka miasta Buenos Aires. Następnie uzyskano prawo, znoszące wielkie domy publiczne. Dziś w każdym mogą znajdować się tylko trzy kobiety, a w każdej dzielnicy tylko jeden dom publiczny. W rezultacie skutkiem tego prostytucya z pewnych dzielnic rozprzestrzeniła się na całe miasto.

Trzeciem prawem było tak zwane „ley de residencia", według którego rząd mógł wydalić bez sądu z granic republiki wszystkie indywidua, uznane za szkodliwe przez policyę. Prawo to niezgodne z konstytucyą i ustanawiające swojego rodzaju „drogę administracyjną" wymierzone było przedewszystkiem przeciw utrzymującym domy publiczne, t. zw. tutaj „caftens" i przeciw handlarzom oraz sutenerom „rufianos". Ci jednak postarali się o poddaństwo argentyńskie i uniemożliwili stosowanie uchwały przeciw sobie. W ostatnich czasach policya posługiwała się tą ustawą, jako bronią przeciw socyalistom i anarchistom zagranicznym, co było powodem naznaczenia na 25 grudnia powszechnego strajku, który nie miał zresztą żadnych widoków powodzenia.

Jak silnymi są „caftens" i „rufianos" można stąd wnosić, że po rozpoczęciu kampanii przeciw handlarzowi żywym towarem utworzył się syndykat z kapitałem 50,000 pesos (40,000 rub.) w celu walki z nowemi prawami w imię swobody. Zaczęto nawet wydawać specyalne pismo, ale opinia publiczna tym razem nie dała się obałamucić i prawa zostały przyjęte przez parlament i senat.

Towarzystwo „Contra la trata de blancos" udziela opieki kobietom, zgłaszającym się do niego z chęcią porzucenia swego fachu. Wyszukuje ono im pracę i opiekuje się niemi bez względu na ich narodowość lub religię. Jednak działalność

jego jest bardziej teoretyczną, niż praktyczną. Prawie każdy statek przywozi towar, wielkie domy przeniosły się na przedmieścia Avellaneda czyli Barracas Sur, znajdującego się już w prowincyi Buenos Aires, gdzie obowiązuje inne prawo niż w stolicy. Co parę miesięcy znajdzie się jakaś, przypadkowo ocalona ofiara, ale to są wyjątki. Jednak i te wyjątki przedstawiają bardzo bolesną tragedyę, tyle tam nędzy, łez i cierpień.

W ostatnich latach jednak zmniejszył się dowóz towaru głównie z powodu zwiększonej podaży miejscowych kreolek, które zaczynają robić konkurencyę importowanym z Europy.

Według danych statystycznych, dostarczonych mi przez „Sociedad Argentina contra trata de blancas" w 1907 r. było w domach publicznych w stolicy 720 miejscowych, 560 poddanych rosyjskich, 282 austryackich i 363 innych narodowości. To w domach, a tak zwanych „clandestinas" czyli mieszkających u siebie liczono do czterech tysięcy, z tych trzy czwarte cudzoziemek.

Prócz tego w Avellaneda znajduje się do 10,000 kobiet publicznych, prawie wyłącznie cudzoziemek, w ogromnej większości żydówek rosyjskich i galicyjskich. Jeżeli do tego dodać ilość prostytutek na prowincyi, gdzie nawet małe trzy i czterotysięczne miasteczka mają po kilka i kilkanaście domów publicznych, wtedy powstanie suma potwornie wielka.

Największem nieszczęściem wielu kobiet importowanych jest to, że przybywają bez żadnych dokumentów, a wskutek tego konsulowie odmawiają im swojej opieki.

Z początku wiele z nich walczy, potem bagno wciąga je, przyzwyczają się do bezczynności i do napojów wyskokowych; po roku niema prawie nadziei uratowania którejkolwiek z nich; zwykle dostają przymiotu i giną bardzo prędko, lub staczają się między najniższe warstwy ludności. Najszczęśliwsze i najsprytniejsze zaczynają pośredniczyć w handlu i wciąganiu nowych ofiar. Zło rozszerza się i przy obecnym ustroju społecznym niema widoków usunięcia go.

Adam Morawski.

List otwarty do komitetu jubileuszu Al. Świętochowskiego.

Szanowni Panowie!

Wydajmy dla uczczenia Świętochowskiego Encyklopedyę Ludową[1]).

Będzie to prosty, ale dostojny podarek, zresztą w liczbie innych.

A będzie on — przeczuwa to dusza moja, przyjętym z otwartemi rękoma, przez tego, który, spowiadając się głośno, „Mea culpa" mówił: *„Szlachta polska wypowiedziała już swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud".* Święte, granitowe słowa.

Niewypowiedział się lud i długo nie wypowie, bo słownik jego wyrazów, jako żywe zwierciadło rozumowych pojęć, to jak dzisiaj 150 najwyżej 259 wyrazów.

To też, gdy nasz Lud bierze dzisiaj do ręki choćby zupełnie popularną książkę, nawet do czytania, to rozumie „wyraźnie" z niej 1/3 a często 1/10 część słów a w ślad za tem pojęć.

To samo i w popularnych wykładach, biesiadach, rozmowach, wszędzie, gdzie lud ten styka się ze słowami ust inteligenta.

I połowy tego nie rozumie lud, co mu się najdostępniej, lecz z trochę szerszego zakresu mówi, tłomaczy. Nie rozumie, bo powtarzam, nie rozumie słów-pojęć. A tego to właśnie nikt i nic go nie uczy; ku czemu nie daje się mu oręża do ręki.

Szkoła. Ta urabia młodsze pokolenia tylko. Zresztą ile tej u nas dzisiaj?! A poza tem dzisiejsza nasza szkoła, to pamięciowa tresura a najczęściej tortura a nie rozumowe urabianie duszy dziecka.

Jestem ktoś ze wsi, i wiem jak to trudno porozumiewać się z ludem, gdy tylko rozmowa, rozumowanie przekraczają próg chaty i gospodarskiego zagonu.

Wiem aż nadto, jak nieraz wprost męczyć się trzeba, jak uzbrajać w świętą cierpliwość, szukać, dobierać wyrazów, zdań, sto razy jedno powtarzać w kółko, aby uprzystępnić włościaninowi, a cóż dopiero włościance, dany, ogólniejszy temat, trochę szerszą aspiracyę, a choćby nowe rzeczy, wrażenia, uczucia.

A doskonale sprawdzam to na odczytach ludowych w zakresie nawet pojęć popularnych.

To widuję, gdy owo „prostactwo", podrostki, baby, pędraki zasłuchują się w słowa prelegenta. Oni słuchają wprost z jakiemś zapięteniem się. Słuchają doprawdy duszą i wszystkimi zmysłami". Słuchają zaś tego tak, aby, jeśli się zdarzy choć z 5-ciu, 10-ciu słów jedno zrozumiałe, podchwycić takowe, zapamiętać, nie opuścić sposobności. Słuchają „ludzie" w Nałęczowie, w Puławach, w Szczebrzeszynie odczytów tak, jak nie słucha żadna Filharmonia. Upewniam.

Wydajmy więc Panowie Encyklopedyę dla tych to ludzi, Encyklopedyę ową *„Naukę w Kole"*.

Ale Koło to zakreślmy w pierwszem wydaniu promieniem, ściśle wymierzonym do stanu umysłowości dzisiejszego naszego ludu. Nic więcej niż 500 wyrazów, 500 ale opracowanych ogromnie rzeczowo, ściśle a jednak obrazowo i w języku wprost wzorowym — wzorowo dostępnym.

Jedno uchybienie jak w zakresie słów, tak i języku a cel stracony.

Przyjdzie „da Bóg doczekać" 5—7 lat, zrobimy nowe wydanie obszerniejsze i... pójdzie to już potem. Wszak tak świat prowadzi te rzeczy dla szerszego świata (Brockhaus Lexikon, Larousse i inne).

Zacznijmy i u siebie tego rodzaju pracę. Nie trwóżmy się zbytnio o kiedyś: „Zaczynajcie, czas skończy" mawiał tytan ducha Wielki Buanarotti.

Ja przynajmniej sądzę, że „pójdzie to", choćby dla tego, że w pracę tę włożymy nie tylko nasze umysły i środki materyalne, ale *cząstkę serc* naszych, naszych uczuć, które złożyć właśnie chcemy — Świętochowskiemu. A wiadomo przecież *że to jedynie uczucie mobilizuje wolę i pobudza do kiełkowania zapłodniony ziarnem czynu umysł.*

Do tej pracy siły się znajdą, łaskawe i gorliwe, i zdolne. (Słownik Polski...)

Koszt wydawnictwa jest dla nas i na te wyniszczone czasy dostępny, a nie tak bardzo uszczupli szerszych waszych, Panowie, aspiracyi np. budowy domu Ludowego lub innych...

Zamiar i popularyzacya idei i czynu nic doznają żadnej przeszkody i z tej i drugiej strony.

Sama praca zainteresuje, zaabsorbuje większą ilość inteligentnych sił, wytworzy, tak dziś pożądany, zespół pracy i czynu — jeden więcej.

Młodzież nam poda potem w kolportarzu ręki.

Nawet sfery ziemiańskie, którym bądź co bądź, zależy dziś na rozumniejszym sąsiedzie - włościaninie lub rozgarniętszym robotniku, nie odniosą się „wrogo" do naszej Encyklopedyi, a kto wie może — sympatycznie. A choćby Koła Staszyca — to już szerokie tu pole.

Książka taka musi być jednak większego formatu. Litery duże, duże. Obrazki, ilustracye konieczne. Oprawna. Nie droga, choćby i nie zupełnie tania.

To są kontury mej myśli. Biegli okażą się i w tem biegłymi.

Dotykam się poczęści „gołą ręką" oświaty ludu i upewniam Was Panowie, że ten choć z zaścianka mój głos, to głos pulsującego życia naszego kraju, głos przemyślany i społecznych potrzeb tegoż.

Jeszcze raz powtarzam, że znając doskonale szczytne, najszczytniejsze serce i wielki, wielki umysł jubilata, jego „pomyślonki", *lud, lud wiejski musi znaleźć się w wykładniku naszych uczuć, naszej wdzięczności dla.. Świętochowskiego. Musi się znaleźć w obliczu daru intelektualnego—książki, pochodni umysłu.*

Tak. Przez lud do serca Tego, który w swem sercu pragnie nosić tyle miłości dla ludu, ile w nim cierpienia.

A gdy „najpiękniejsze" słowa, nie poparte „wyrazem„ to te na szybach w wagonie, rznięte pierścionkiem, westchnienia, to niniejszym deklaruję do listy składek na ten specyalny, proponowany przezemnie cel — podarek — wydawnictwo Rb. 100, oraz od kogoś bliskiego 50 rb. i zobowiązuję się rozprzestrzenić w kole moich wiejskich stosunków 50 egzemplarzy zamierzonej Encyklopedyi ludowej.

Eug. Sokołowski.

25/I. 08.
Sieprawki. Lubelskie.

[1]) Myśl wydania encyklopedyi dla ludu była niedawno rozpatrywana w innych kołach, które ostatecznie zaniechały jej, jako niepraktycznej, bezcelowej. (przyp. red.)

FEJLETON

Walka z mechanizmem.

W ładnem dziełku p. t. „Śmiech" (wyszło w tłomaczeniu polskiem) dowodzi francuski uczony Bergson, że głównem źródłem komizmu są rozmaite zautomatyzowania społeczne, objawiające się w zwyczajach, przesądach, modach, doktrynach, urządzeniach. Przez wykrywanie komizmu jużto dojrzałego jużto zawartego zarodkowo w pewnych zakątkach życia, broni się społeczeństwo instynktownie przeciw temu wszystkiemu, co pod względem duchowym chce nas wcisnąć w szablon, co jest niecelowe, niezgrabne lub martwe; dowcip, satyra, komedya są wiecznie czujnym i wszędzie wnikającym protestem tego, co żywe, co się ustawicznie przeradza, przeciw mechanizującym pierwiastkom życia.

Przez takie postawienie sprawy rozminął się wprawdzie Bergson z rezultatami, ustalonymi dla komizmu przez takich potentatów analizy psychologicznej, jak np. niemiecki filozof Lipps. Bergson nie zrozumiał nawet Lippsa i definicyą swoją ograniczył zbytnio teren komizmu, wysunął za to na pierwszy plan moment dla tej kwestyi

ważny i owocny: moment społeczny. W samej rzeczy śmiech jest najdawniejszym krytykiem i buntownikiem, zakapturzonym i chytrym demokratą, zaletą jego jest to, że „nic nie uszanuje”, że „niema dlań nic świętego”. Wystarczy wskazać choćby społeczną rolę żartów cynicznych i — pornograficznych, nad którą zastanawiał się genialny wiedeński psycholog Freud, porównywując technikę dowcipu z techniką zjawisk sennych[1]). Anarchistą, nihilistą jest śmiech, jest tem dzieckiem z bajki, które na widok otumanionego przez sowizdrzała orszaku królewskiego krzyknęło: „Alеż ci ludzie są nadzy”! I jeszcze jedno: niespodzianki komizmu bywają czasem tak subtelne, że nabierają znaczenia—że tak powiem—odczynników filozoficznych. „Candide” Woltera doprowadził do absurdu optyminizm Leibnitza, demaskując jego fałszerstwa logiczne lepiej, niż to w owym czasie zdołali uczynić fachowi uczeni. Goethe mówił, że dowcipne koncepty Lichtenberga kryją w sobie problematy. Paradoks Talleyranda: „mowę wynaleziono po to, aby myśli zatajać” albo Lessinga: „Przepraszam za zbyt długi list, niemiałem czasu na krótszy” albo takie wyrażenie jak „pracowite próżniactwo — są odkryciami. Takie odkrycia rozrzucone są obficie w pismach Wilde'a, Swiętochowskiego i in.

Zabójczy i odkrywczy śmiech ma w naszych czasach tem trudniejsze zadanie przed sobą, im obfitszy nadarza mu się materyał. Przez nasze czasy przepływa i krzyżuje się z sobą tyle prądów umysłowych: w życiu społecznem, w polityce, w sztuce, że trzeba samemu żyć pełnem życiem, brać w tem wszystkiem żywy współudział, aby się nietylko zoryentować, lecz wyrobić sobie także pewien ideał, w imię którego feruje się humorystyczne wyroki. Ideał ten naturalnie nie potrzebuje legitymować się przy każdej sposobności, wystarczy, jeżeli działa negatywnie, jak ukryty kompas. Humorysta bez takiego ideału stanie się błaznem, lub żeby użyć wyrażenia Glassa będzie: „fragmentarycznym faunikiem satyry”.

Estetyczna wartość komizmu i humoru wypływa z dwóch źródeł. Wartościową w dziele humorysty jest albo fasada albo materyał. Fasada to znaczy liczne kombinacye, figury, foremki, w które wylewa się treść. W tym kierunku obfitością celuje Nowaczyński. Do jego stylu humorystycznego możnaby zastosować heglowskie słowo o przemianie ilości w jakość: orgia dowcipu negacyjnego, nihilistycznego, nawet błazeńskiego przechodzi w wartość pozytywną, staje się jakby mirażem państwa wolności, rękojmią ery dyonizyjskich szałów (szczyt osiągnięty w „Idealnem variete” z cyklu „Małpie zwierciadło”). Natomiast odkrywcza wartość jego humoru stoi o wiele niżej, stanowiska zaś, z których „chłoszcze” „wady społeczne”, są wprawdzie jeszcze wciąż aktualne, ale nienowe, lub nawet już przezwyciężone. Obecnie Nowaczyński wysiaduje po różnych smoczych gniazdach jaja, osierocone tam przez dawno zdechłych rodziców. Czy zrodzą się z tego smoki, które łomotem skrzydeł przerażą nasz filisterski wiek? Wątpię. Wolałby Nowaczyński urządzić satyryczną krucyatę przeciw nowożytnemu smokowi: narodowej demokracyi. To było nawet, zdaniem niektórych, historycznem przeznaczeniem Nowaczyńskiego. Wyręczył go Glass. W swoim „Wizerunku człowieka w 1906 r. w Polsce poczciwego” dał satyrę przeciw narodowej demokracyi w Królestwie.

Komu się słowo „satyra” wydaje przesadnem, niech powie „pamflet”. Narodowa demokracya powie naturalnie „paszkwil” i potępi książkę ze stanowiska i politycznego i estetycznego. Warto rozważyć, jak w samym wypadku to pierwsze stanowisko wpływa na drugie choćby mimowoli. Zwolennik „czystej sztuki” znajdzie się w kłopocie, jeżeli zechce, wymijając wszelką politykę, oznaczyć wartość literacką „Wizerunku” tylko według „pierwiastków artystycznych”; czepi się więc stylu, budowy, temperamentu, nastroju, albo będzie szperał za jakimś „ogólnym duchem”, czy symbolem. W ten sposób jednak wykręci się tylko od właściwego zadania lub wyda sąd taki, jakiby np. wydał hermafrodyta o „Romeo i Julii”. Tu trzeba koniecznie stanąć po czyjejś stronie, przeciw komuś. Chcąc np. uznać wartość „Wizerunku”, trzeba solidarności z autorem, przyczem jego „przeciw” jest ważniejsze od jego „za”.

Jego „przeciw” godzi w narodową demokracyę. Pełne znaczenie satyry Glassa oceni tylko ten, kto w działalności endecyi nauczył się wyczuwać duchowy mechanizm, kto zna konstrukcyę tego mechanizmu i wie, co znaczą takie śrubki i sprężynki jak: „stan posiadania”, „państwowość polska”, „ekspansya narodowa” (narodowa — z akcentem na czwartej od końca, zaprowadzonym przez p. Głąbińskiego), kto w „Egoizmie narodowym” Balickiego umie czytać między wierszami, kto obserwuje powolne rozszerzanie się i zwycięztwo „idei wszechpolskiej” i widzi, jakie charaktery lgną do tej idei, widzi tak dobrze, że na niezajętym jeszcze przez endecyę terenie mógłby z góry oznaczyć, kto wskutek takiej a nie innej organizacyi swego umysłu i charakteru (instynktowne posługiwanie się „zasadą najmniejszego wysiłku”) musi się stać narodowym demokratą; wogóle kto tylko poznał, że endecya to nietylko program specyalny, ale pewna podstawa duchowa, nieprzywiązana do miejsca i czasu, że jeszcze Kaifasz, rozdzierający szaty nad umęczonym Chrystusem, był narodowym demokratą. Jak walczyć z mechanizmem? Wykrywając go. W tem tkwi właśnie wartość pamfletu Glassa, „Pamiętnik p. Wiesława Wrony, przemysłowca, kupca, obywatela i wyborcy” jest jakby dokumentem, wykradzionym z tajnych papierów duszy narodowo-demokratycznej, jest jej zeznaniem, złożonem na torturze satyry. Tak wniknąć w swego wroga, tak do złudzenia naśladować go, tak *umieć go na pamięć*, tak znać jego język, jego sposób myślenia, żeby mu aż podpowiadać — jest probierzem wyższości jednego typu duchowego nad drugim, dowodem, że oto tutaj jedno koło większe obejmuje w sobie drugie mniejsze. Kiedy w Niemczech panował spór, kto większy: Goethe, czy Schiller, powiedział Heine: Goethe mógłby był napisać Schillera razem z jego dramatami. Tego rodzaju wyższość mam tu właśnie na myśli. Wrona jest modelem, homunculusem, wytworzonym w retorcie satyry. I chociaż „Wizerunek”, przetkany publicystyką i ustępami obrachowanymi na gruby efekt, godzien jest tego, żeby nad nim kręcili nosem maniacy „artystycznego wykonania”, to jednak w intencyi, w poczęciu swem i w najlepszych ustępach — a według tych należy zawsze sądzić każde dzieło! — jest usiłowaniem literackiem pierwszorzędnem.

Dość obok niego postawić np. taką rzecz jak Reymonta „Z pamiętnika” (coś jakby pamiętnik córki śp. Wrony). Wirtuozostwem zewnętrznej obserwacyi przewyższa Reymont Glassa o wiele, ale brak mu powagi i odwagi do wyciągania konsekwencyi; rzecz jego też nigdzie nie kulminuje i kończy się na „szopkach”.

Pozostaje jeszcze kwestya lojalności. Satyra Glassa byłaby silniejszą, gdyby tropiła przeciwnika aż do ostatnich jego rezerw ideowych, uwzględniając je ze sprawiedliwem okrucieństwem. Bo sam fakt, że coś jest przedmiotem śmiechu, jeszcze niczego nie dowodzi; dowcip miewa natręctwo pchły, satyra pluskwy. Lecz pomijam tę kwestyę, zwracając tylko uwagę na to, jak dalece znowu i tej kwestyi, napozór czysto literackiej, nie można rozstrzygnąć bez wciągnięcia w rachubę pierwiastków pozaliterackich.

Rozważmy teraz drugą część sprawy, to jest „za” naszego satyryka. Glass jest skrajnym i jego Wrona połową twarzy jest raczej „burżujem” niż narodowym demokratą. Jak mielizną dla Nowaczyńskiego było pojęcie „filistra” tak mielizną dla Glassa jest pojęcie „burżuja”. Ułatwia ono coprawda robotę i w życiu praktycznym ma wartość oryentacyjną, taką jaką mają wszelkie doświadczenia zgęszczone w pewnych nazwach, rubrykach, przysłowiach. Ale poeta ma sobie zawsze pracę utrudniać, nie ułatwiać. Glass nie wychodzi poza teoryę socyalistyczną, która powiada, że człowiek przeciętny mający tyle a tyle dochodu musi mieć taką a taką ideologię, t. zn. taką filozofię, takie prawo, taką sztukę, taki patryotyzm. Dlatego np. Glass podobnie mylnie, jak Brzozowski, ocenia Berenta i Przybyszewskiego. Ideologia burżuazyi! Ale co to jest ideologia? Warto się nadtem osobno zastanowić, czy rzeczywiście pewien stopień bytowania ekonomicznego wytwarza pewne ideały i teorye, czy też je tylko przyciąga, dobiera je sobie, one zaś same rodzą się z niezależnej twórczości ducha i tworzą repertuar, z którego sobie potem pewne warstwy i grupy biorą hasła najdogodniejsze. To jest nietylko kwestya psyhologiczna, ale i zadanie dla poety — twórcy; on jeden może wszystkie teorye i nazwy wrzucić napowrót do tygla i przedstawić sprawę bezimiennie, choćby nawet musiał w tym celu użyć nowych imion „jako środków „artystycznych”, służących do ubezwładnienia imion starych. Dajmy nato, że mamy fakt, który jedni nazywają „oportunizmem” drudzy „realną polityką”; wykryć linię graniczną może tylko poeta. Poeta organizuje chaos i dezorganizuje szablon, stawia nowe pytajniki starym odpowiedziom i wyłania sprawy nowe ku nowym odpowiedziom, — on schodzi do źródeł, z których się rodzą teorye. W tym sensie i tylko w tym stoi poeta ponad partyami i teoryami; pracuje jednak wśród tych samych trzech wymiarów, jakie ma kultura, a nie w wymiarze czwartym po za przestrzenią, i czasem. To jest postulat nietylko „artystyczny”, ale i socyalistyczny, o ile socyalizm chce być nietylko stronnictwem i mechanizmem, lecz także światopoglądem, mającym skupić dookoła siebie najtęższą i najodważniejszą pracę kulturalną.

I z tego punktu widzenia postawiłbym jeszcze Glassowi zarzut, że *nadużywa rewolucyi jako rezonatora.* Zarzut ten zresztą nietylko jego jednego dotyka — a nawet jego bodaj czy nie najmniej. Mam na myśli wprowadzanie krwi i męczeństwa, jako ostatecznego i niezbitego dowodu „za”. Pagórek z trupów jest coprawda imponującą kazalnicą. Glass wydaje swe wyroki w imię szubienicy. Uważam to za niewystarczające, a nawet za niegodne dobrej sprawy. Lecz pomijam tę kwestyę, choć wiem, że w niej tkwi sedno rzeczy. Rozbraja mnie szczery a nawet osobisty stosunek autora do rewolucyi. Druga część „Wizerunku”, pozytywna, zawierająca apoteozę bohatera, wznosi się do wyżyn ekstazy. Autor nie wahał się nawet dać tu własnego chaosu i „zepsuć” sobie książki. Są ustępy w tej drugiej części kompletnie niejasne, pisane dla siebie samego, rozkrawywania jakichś atomów, dociekania mistyczne, pochylania się nad krawędzią. Wątpię, czy tą książka pomimo świetnego stylu zadowoli wymagania „artystyczne” czytającej gawiedzi. Jest w niej rozmach, temperament w gatunku niedość jeszcze utartym. Jest w niej jakieś na łeb, na szyję. Ta odkrywcza satyra jest przedewszystkiem *posmakiem nienawiści* jakiegośmy nie mieli. (Nienawiść — jestże już uczuciem godnem poezyi?). Pod dłonią

[1]) Kiedyindziej postaram się zaznajomić publiczność polską z pracami Lippsa i Freuda. Dla psychologii zjawisk podświadomych odkrycia obu tych uczonych są niesłychanie doniosłe.

drżącą z namiętności przechodzi rysunek satyryczny w karykaturę. Wiesław Wrona staje się potwornym symbolem, kosmiczną potęgą. Autor pieni się, miota, szarpie, jak wściekły żubr bodzie rogami w prawo i w lewo — i to w lewo jeszcze częściej, niż w prawo.

Mimo tego doczekał się w pewnem arystokratycznem piśmie aż trzech fejletonów pochwalnych. Czy to było arystokratyczne niedopatrzenie, — czy subtelna ironia, wypływająca z bezgranicznej pewności siebie? Redaktor tego pisma bije Glassowi ze swej loży brawo, jakby był w cyrku, jakby tu tylko o skórę narodowej demokracyi chodziło. Widocznie nie czytał jeszcze *Błysków*, zwłaszcza zamieszczonej tamże na końcu rozprawy „Nad zbrodnią", — nie odczuł niemiłego dreszczu wobec mimowolnego wrażenia, że oto na jego dywan wchodzi zabłocony proletaryusz, zdeklasowany inteligentnik, niosący w zanadrzu „bombę z lontem, iżby rozumiano". Ta rozprawa jest skandalem, z którym współzawodniczy tylko ten drugi skandal, że tamtego nie spostrzeżono. Ta rozprawa jest już przecież rykiem żubra wobec całego amfiteatru, jest „bezczelną" impertynencyą; wyciąga się tu dłoń napozór w rozpaczliwej skardze, lecz wraz zaciska się w pięść, gotową wyrżnąć w łeb!

Karol Irzykowski.

BADANIA NAUKOWE.

Wilhelm Ostwald.

O pierwiastkach.

przełożył *D-r J. Babiński.*

(Ciąg dalszy)

Owe nowe pojęcie rozwijać się powoli poczęło około połowy stulecia siedemnastego. Było ono wynikiem znacznego już podówczas zasobu wiadomości z dziedziny chemii doświadczalnej, wiadomości, dotyczących przebiegu zjawisk chemicznych. Możność otrzymywania z powrotem metali szlachetnych z ich związków, np. z roztworów ich soli, prowadziła bezpośrednio do przypuszczenia, iż metale te istnieją w związkach swych w dalszym ciągu, chociaż pozornie znikają. Van Helmont (1577—1644) wypowiadał pogląd ten w pismach swych niejednokrotnie, zaznaczając przytem, (co uważać należy za poważny krok naprzód), że ilość metali, otrzymywanych ze związków, równa się ilości ich wziętych do doświadczenia. Dowiódł on np. że krzemionkę stopić możemy z potażem na szkło, rozkładając zaś to szkło za pomocą kwasów — otrzymujemy pierwotną ilość krzemionki.

W tym samym kierunku pracowali Glauber, Sylvius de la Boe i inni. Boyle, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, ujął w jedną całość rezultaty wszystkich prac tych poszczególnych, wyciągając z nich wnioski ogólne. Naturalną jest rzeczą, iż jednocześnie z rozwojem prac tych powstają początki chemii analitycznej w znaczeniu dzisiejszem. Wykazać obecność substancyi, opierając się na znajomości jej własności można było dopiero po przyjściu do przekonania, że substancye nadają otrzymywanym z nich produktom (np. roztworom w wodzie lub w kwasach), własności ściśle określone.

Ów pogląd naukowy nie został wprawdzie odrazu ujęty w formę jasną i ogólną, co zresztą przy stanie ówczesnym wiedzy, będącej niemal w powijakach, było rzeczą niemożliwą, lecz przybrał do pewnego stopnia dowolną postać hypotezy atomistycznej lub korpuskularnej, której wyznawcą był również i Boyle. Przypuszczając, iż związki chemiczne powstają przez ugrupowanie się atomów jednego pierwiastku z atomami drugiego, przytem tak, że natura pierwiastków zostaje przytem niezmienną, nie pozostawało nic innego nad przypuszczenie, iż tylko z takich atomów złożonych, zawierających atomy odnośnych pierwiastków, pierwiastki otrzymywane być mogą i że, z drugiej strony, żadna dowolna zmiana w stosunku wzajemnym tych atomów pierwiastkowych ani istoty ich, ani ilości zmienić nie jest w stanie.

Poznajemy tu pierwszy wpływ poglądów hypotetycznych, odnoszących się do budowy „materyi" t. j. układów, obdarzonych ciężarem i masą—na poznawanie praw, rządzących tymi układami. Cały rozwój późniejszy chemii naukowej stał pod znakiem tych poglądów i większość badaczy, pracujących na tem polu, wahała się zawsze z zarzuceniem tych hypotez, chociaż nie ulegało wątpliwości, iż wobec surowej krytyki rozumowej stanowisko ich nie było zbyt pewne. Obrazowość tych hypotez była dla zwolenników ich czemś niesłychanie dodatniem, była też tarczą, którą wystawiano zawsze przeciw napaściom przeciwników. Nie powinno nas to dziwić. Owe hypotezy łatwiejsze były do ujęcia niż inne, bardziej oderwane sposoby tłomaczenia tych samych faktów.

Przypomina to drogę rozwojową, którą przechodzi każdy z nas w sztuce np. liczenia. Obchodzenie się bez pomocy palców wydaje się nam z początku rzeczą niemożliwą; są tacy, co, nie umiejąc pisać, są jednak w stanie za pomocą pewnych przyrządów wykonywać rachunki dość złożone, ci jednak, którzy wtajemniczyli się w oderwany i ogólniejszy sposób liczenia — wobec rachunków złożonych, szczególniej zaś wobec zadań nowych, będą się zawsze czuli pewniejszymi i niezależniejszymi od pierwszych, praca ich będzie więc zawsze bardziej owocną.

Bystry umysł Boyle'a dostrzegł w poglądach atomistycznych inną jeszcze trudność. Jeżeli mianowicie atomy pierwiastków przechodzą do związków bez zmian (istnieją w związkach w dalszym ciągu) to powinnibyśmy się spodziewać, że własności związków muszą być równe sumie lub też w sposób odpowiedni obliczonej wartości pośredniej wszystkich własności pierwiastków poszczególnych. Wniosek ten Boyle z hypotezy swej wyciągnął, wyraża on bowiem niejednokrotnie zdumienie swe, że rezultaty badań doświadczalnych znajdują się częstokroć w rażącej sprzeczności z teoryą. Dziwi się on np., że gdy z kwasu i zasady tworzy się sól — znikają wszystkie cechy, charakteryzujące kwasy i zasady.

Trudność powyższa związana z hypotezą atomistyczną została nieusuniętą do dnia dzisiejszego, chociaż zdążyliśmy się tak dalece oswoić z niektóremi sprzecznościami pomiędzy doświadczeniem a hypotezą, iż dziś zupełnie prawie ich nie odczuwamy. Zadawalamy się twierdzeniem ogólnem, że własności substancyj zależą od zmiennych stosunków ruchowych atomów i że przez łączenie się kilku atomów ruchy każdego z nich zostają zmienione. Poglądy te nie doprowadziły jednak dotychczas do żadnych wyników ścisłych i ogólnych.

Jednocześnie z wyjaśnieniem i określeniem pojęcia pierwiastku — następuje określenie pojęcia substancyi. W filozofii Arystotelesa miano substancyi lub materyi nadawano czemuś obojętnemu, czemu zależnie od okoliczności nadawać można było najrozmaitsze własności dowolne. Dopiero gdy poznano, że otrzymywanie z danej substancyi innej, dowolnej jest rzeczą niemożliwą, gdy zrozumiano, iż mamy tu do czynienia ze stosunkami ściśle określonymi, wówczas dopiero wykryto bez porównania ściślejszy związek pomiędzy substancyą i własnością, mianowicie, że rodzaj substancyi stanowi o rodzaju własności.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż rozróżniano wówczas indywidua chemiczne w sposób równie nieokreślony i ogólnikowy, jak i osobniki roślinne i zwierzęce, chociaż poznawano i rozróżniano ciała już od czasów bardzo dawnych. Dlatego też studyowanie literatury starej jest połączone z ogromnemi trudnościami, często bowiem nie wiemy do jakiej substancyi stosuje się ta lub inna nazwa. Rzymianie, naprzykład, uważali ołów i cynę za odmiany jednego i tegoż samego metalu; Pliniusz opisuje „czarny" i „biały" ołów jako substancye, mało różniące się pomiędzy sobą.

Poznanie, iż te same substancye, otrzymywane za pomocą procesów różnych, są jednakowe, z drugiej znów strony rozróżnianie substancyj niejednakowych, lecz podobnych nie było rzeczą łatwą; dowodem tego jest historya węglanów alkalicznych. Węglanowi potasu nadawano aż do początku stulecia osiemnastego nazwy różne, zależnie od tego, czy substancye te otrzymywano z popiołu drzewnego, czy też z kamienia winnego lub saletry. I odwrotnie: nie rozróżniano prawie potażu od sody, ponieważ obie te substancye wykazują w większości przypadków reakcye jednakowe. Dopiero Stahl zwraca okolicznościowo uwagę, że sól kuchenna zdaje się zawierać inną zasadę niż potaż, ponieważ sole, otrzymane z nich pod działaniem jednakowych kwasów, wykazują odmienną postać krystaliczną i różnią się pod względem rozpuszczalności w wodzie. Znajdujemy tu więc początek myśli ogólnej, że różne własności tak charakteryzują substancye różne, iż określoną ilość własności zgodnych znajdujemy jedynie w substancyach jednakowych, niezależnie od drogi, na której zostały otrzymane.

Wprawdzie poznanie ówczesne istoty własności było jeszcze bardzo niedokładne. Odwrotnie — znajdujemy częste dowody, że, zależnie od sposobu otrzymywania, upatrywano różnice jakościowe nawet w substancyach pierwiastkowych jak złoto, żelazo, cyna i t. d., podobnie jak w produktach o składzie dowolnym np. chlebie, winie itp. Jak i kiedy nastąpiło właściwe zrozumienie faktu, że różnice we własnościach substancyj jednakowych pochodzą od obecności w nich niewielkich ilości domieszek obcych i że własności tem mniej są zależne od pochodzenia substancyi im dokładniej te domieszki usunięte zostaną — nie wiemy. Zdaje się, że żaden historyk chemii dotychczas dokładnie kwestyi tej nie badał. Bądź co bądź — pod koniec stulecia osiemnastego poznanie to już istniało. W tym bowiem czasie komisya miar i wag respubliki francuskiej określa nazwą gramu ciężar jednego centymetra sześciennego wody czystej o temperaturze +4°C. Członkowie tej komisyi nie wątpili więc ani na chwilę, że ciężar ten jest zupełnie niezależny od sposobu, którym wodę czystą otrzymywać będziemy.

Rozwój poznania tego był więc równoznaczny z rozwojem poznania różnicy pomiędzy *substancyą czystą* a *roztworem*. Wprawdzie i dziś jeszcze rozróżnianie to odbywa się na pół świadomie na mocy wiadomości praktycznych i ściśle, zasadnicze sformułowanie pojęcia tego należy już do czasów najnowszych. A jednak od lat prze-

szło pięćdziesięciu nazywa każdy organik preparat swój nieczystym, jeżeli ten ostatni wykazuje zmienny punkt wrzenia przy dystylacyi frakcyonowanej lub też zmienny punkt topliwości. Rzadko jednak, rzadziej niżby ważność kwestyi tego wymagała napotykamy zdawanie sobie dokładne sprawy z faktu, że podobna zmienność własności jest właściwą cechą roztworów, niezmienność zaś — cechą substancyi czystych. Przywykliśmy uważać to za rzecz „zrozumiałą samo przez się", nad którą głębiej zastanawiać się nie warto.

Wchodzimy tu już jednak na drogi, należące do doby obecnej. Przed wkroczeniem na nie rozpatrzmy kilka innych jeszcze linij rozwojowych, poprzedzających narodziny naszego dzisiejszego pojęcia pierwiastku i związku. Są to próby, mające na celu podciągnięcie pod prawo ogólne uprzednio poznanej już zasadniczo zależności wzajemnych substancyj przy ich powstawaniu i przemianach.

Za jeden z najważniejszych kroków na drodze poznania wzajemnych substancyj uważać należy powstanie teoryi spalań. Doświadczenie wykazało, iż każdy układ, zależnie od dokonywanych reakcyj, uczynić możemy palnym lub też niepalnym. Węgiel np. jest substancyą palną i własności tej udziela wielu innym ciałom np. „ziemiom metalicznym" przyczem występują własności metaliczne, sam zaś węgiel albo znika zupełnie, albo też ilość jego zmniejsza się. Zgodnie z hasłem: gdzie są własności, tam musi być i substancya — przyjęto istnienie substancyi takiej, której nadano nazwę *flogistonu*. Wiemy, iż naukę tę, przygotowaną już przez J. J. Bechera, rozwinął i opracował najszczegółowiej — G. E. Stahl (1660—1734), przez co po raz pierwszy powstał systemat racyonalny, obejmujący większość najważniejszych, znanych podówczas substancyj.

Niektórzy patrzą dziś jeszcze na teoryę flogistonu, jak na zupełnie niezrozumiały nonsens, wiele jednak głosów bardzo poważnych staje w jej obronie, wskazując ogromne znaczenie jej w historyi nauki. Musimy dziś wprawdzie odrzucić pogląd, że pojęcie flogistonu jest niczem innem jak poprzednikiem pojęcia energii; jest to pogląd, idący stanowczo za daleko. Tem niemniej teoryi tej zawdzięczamy zupełnie jasne przedstawienie procesów utleniania i odtleniania, jak również i ich stosunków wzajemnych. Jest to zdobycz naukowa wartości pierwszorzędnej. To, że pojęcie substancyi w zastosowaniu do flogistonu użyte zostało w sposób niewłaściwy — odgrywa rolę stosunkowo niewielką. Ze drzewo, olej, itp. spalając się, znikają — uczyło doświadczenie codzienne, musiało się więc w rezultacie wytworzyć przekonanie, iż przy procesach spalania się coś się ulatnia,że substancya coś traci. Najważniejszem z tego wszystkiego jest poznanie, że chodzi tu o procesy ogólne i przeciwstawne: spalanie się i odtwarzanie się powrotne, czyli procesy utleniania się i odtleniania; poznanie to wyraziło się w teoryi flogistonu w sposób jaknajszczęśliwszy. Zresztą i uczeni współcześni nieinaczej się na to zapatrywali. Badacze, którym zawdzięczamy odkrycie tlenu Scheele i Priestley, najwybitniejsi eksperymentatorzy ówcześni, byli przez długi czas wyznawcami tej teoryi, uważali więc ją za zupełnie zadawalające przewodnika przy swych pracach doświadczalnych.

Później dopiero, gdy w dalszym rozwoju nauki przyszło uwzględniać i stosunki wagowe — poczęły piętrzyć się przed teoryą flogistonu trudności poważne. Podług teoryi tej — „ziemie metaliczne" uważane były za substancye prostsze, przechodzące w metale wskutek łączenia się z flogistonem; po odebraniu metalom flogistonu — powstają z powrotem „ziemie metaliczne". Otóż okazało się, iż „ziemie metaliczne" ważą więcej, niż otrzymane z nich metale. Stwierdził to już Mayow w r. 1669 i objaśnił łączeniem się metali z gazem, otrzymywanym z saletry t. zw. „Spiritus nitro aereus", lecz doświadczenia i myśli młodego tego, zmarłego przedwcześnie badacza pozostały bez wpływu na obecnych i przebrzmiały bez echa.

Dopiero po odkryciu tlenu przez Scheelego i Priestleya i opisaniu przez nich jego własności—mógł przy końcu stulecia ośmnastego dokonać Lavoisier odpowiednich przekształceń w myśli zasadniczej teoryi flogistonu i objaśnić tworzenie się „ziem metalicznych" łączeniem się metali z tlenem, powstawanie zaś z ziem metali — utratą tlenu. Lavoisier wykazał również, że i substancye niemetaliczne jak np. siarka i fosfor, spalając się, zyskują na wadze i mógł tym sposobem dowieść, że jego teorya spalań posiada znaczenie ogólne.

Postęp ten nazwać musimy bardzo wielkim, a jednak wartość jego stale przesadzano. Rzecz bowiem najważniejsza, mianowicie systematyka reakcyj spaleń daną już była przez teoryę flogistonu, pozostawało tu jedynie w myśl nowych pojęć odwrócić w sposób odpowiedni wszystko to, co się znajdowało w związku z pojęciem łączenia się i rozkładu.

Jednak już samo poznanie możności odwrócenia takiego, sprzeciwiającego się poglądom wszystkich współczesnych wymagało wielkiej niezależności i potęgi myśli; w tem znaczeniu sława Lavoisier'a jest zupełnie zasłużoną. Dodać należy, że oprócz tego, opracował on łącznie z kilku innymi badaczami nową systematykę, która rozpowszechniła się szybko.

(D. n.)

LITERATURA I SZTUKA.

„Sztuka stosowana" w Warszawie.

Na pierwszem piętrze Pałacu Sztuki w Warszawie rozbiła swe namioty drużyna energetyków cechu malarskiego, którzy, zwiąsawszy się w świadome celów i selekcyjne bractwo, postanowili wyłącznie własnowolnym mozołem dać swej społeczności to, co w Europie jest już chlebem powszednim wielu a u nas dopiero kawiorem dla nielicznych, tj. *sztukę dnia codziennego*.

Warszawa po raz pierwszy ogląda w większym całokształcie zprezentowane rezultaty tej pracy, której szlachetnym emblematem i podniecającą tendencyą jest upiększenie najbliższej zewnętrzności, wyestetyzowanie nieruchomych warunków, wśród których żyjemy i pomoc w krystalizacyi, w wyłanianiu się jakiegoś możliwie swoistego, możliwie z organiczną ideą piękna związanego narodowego stylu.

W normalnych warunkach cywilizacyjnych cały ten ruch sztuki, zagarniającej pod swą władzę wszystko, co człowieka pełnego otacza i tyczy (ruch ten jak tyle innych idący z Anglii) jest pepinierą inteligentnej burżuazyi a w ostatnich czasach pupilem rządów i ministeryów; u nas narazie reprezentujący go działacze muszą się zadawalać rolą estetycznych misyonarzy i zyskami raczej platonicznymi.

Jak dotychczas zdołali oni w kilku działach życia urzeczywistnić swój program, ale jest nadzieja, że znalazłszy życzliwy rezonans w sferach, które chcą pięknie korzystać z błogosławieństw swych kapitałów, zczasem i w innych działach otaczającego życia dadzą próby i przykłady estetycznej indywidualizacyi rzeczy martwych i przedmiotów życia codziennego w myśl wszystko ogarniającej narodowej odrębności i swoistości.

Wystawa obecna daje już wrażenie bardzo godne, a dla Warszawian edukacyjne i pedagogiczne. Otwierają się nowe światy i nowe szerokie perspektywy. Sztuka zstępuje w mieszkanie każdego śmiertelnika.

Ponieważ styl uniwersalny dzisiejszej sztuki stosowanej nadaje się więcej do zacisznych will i cottażów a mniej do reprezentacyjno-recepcyjnych pałaców (np. cały Vander Veldego *yachtingstyle*) przeto i w tej wystawie uwzględniono zaciszną nizkość ubikacyi w jakiejś jakby przedmiejskiej willi i w wysokich salach „Zachęty", sztucznie rewolucyonizując nawet miary, wybudowano szereg wnętrz i fragmentów wnętrznych, tworzących w sumie jednolitą, ujmującą całość. Z roztaczającego się obrazu tej przebudowy i przemiany, widzi się, że gentleman-rodak, posiadający pewną, okrągłą sumę rubeljansów, może dziś z pomocą sił wyłącznie naszych wystawić w swych dobrach np. kościół, jakiego w drugiej podobnej edycyi nie zobaczy już nigdzie; że wnętrze tego kościoła (planu np. p. Otta, czy p. Noakowskiego) może być strojne w taką szatę sielkich barwności (p. Bukowski, Bruzdowicz, Maszkowski) jakiej nie zobaczyłby już nigdzie; ten zaś postawiony kościół będzie tak przynależnym do gruntu, pejzażu, typu ludności, z jakiej wzrósł, że przeniesiony gdzieindziej byłby nawet dysonansem.

Następnie widzi się, że wszyscy (o ile tylko istotnie chcemy) możemy mieć wille i domki, łączące stare tradycye modrzewiowe z wymaganiami nowego komfortu, wygody, hygieny, oszczędności. Co więcej, w *naszych* miastach mogłyby stanąć gmachy teatralne, czy halle koncertowe, pałace klubowe, czy domy ludowe, dużo krewieństwa mające w swej fizyognomii ze starą architektoniką kościołów, dworków, gospód czy nawet spichlerzów. Ba nawet w tej Warszawie dziś opłakanej mógłby stanąć wreszcie pałac Talii, Melpomeny, któryby wywoływał jakieś ukochane przypomnienia Sandomierza, czy Kazimierza (nad Wisłą) a w którymby wszystko od kurtyn, kotar, obramień, lóż, foyer, schodów, drzwi, bram aż do najdrobniejszych szczegółów, do foteli, klamek, wieszadeł, gryfów, intarsyi, śrub, chodników było odrębne, swoiste nasze.

Tymczasem zaś *rien a faire est doux*; *promenenons nous* po tej wytwornej willi... pod Warszawą.

W sień alzydową półkolistą przesiewa się przez czarujący witraż dyskretne światło; jest przymroczno i chłodnawo, jak przystało na obojętną atmosferę antresoli. Wszystko tu wyszło z pod ręki prof. Karola Tichego, przyjaciela gnomów, protektora czerwono-biało-złotawości, żonglera dwóch linii półkolistych, dyskretnego kolorysty. Pewna romańska powaga znamionuje tę hallę przy pewnej zresztą hamowanej tajemniczości. Idąc w prawo, mamy kolejno dwa pokoje mieszkalne bez specyalnej etykiety, dalej typ pokoju stołowego i typ pokoju sypialnianego. Stołowy pokój z bajeczności mahoniowych skonstruowany jest atutem p. Wojtyczki.

Jak p. Wojtyczko pojął styl stołowego pokoju wesoło, lotnie, lekko, tak p. Trojanowski styl sypialniowy poważnie, mieszczańsko, omal po średniowiecznemu. Dwa wnętrza są terenem dotworzonym do mebli pomysłu świętej pamięci Wyspiańskiego. Meble dla stołowego pokoju ludowe w pojęciu, proste, surowe, szlachetne. W drugiem wnętrzu na tle ściany koloru „zabielanego barszczu" stoją ciężkie, masywne

meble, które nazwaćby można anti-burżuazyjnymi ze względu na ich posępną surowość, kanciastość, okrutność przegubów i niesiedzistość. Meble te, idealne w gabinecie moralisty, kaznodzieja, pedagoga, wprost bezlitosne są dla młodego małżeństwa, gdzie przecież wszystko winno zachęcać do wygodnego rozsiadania się i intensywnego wytłaczania w meblach śladów gorących dyalogów i duetów. Z halli wejściowej idąc w prawo, jesteśmy w myszkowo-srebrzystym gabinecie E. Trojanowskiego. Poważna monumentalność tych mebli nie ujmuje nic ich powabnej wygodności, są zdecydowane w liniach, ciche, łagodne w kolorze. Pewna dostojność w nich, kurulność foteli, masywność okrągłego stołu sprawiają, że kwalifikują się one do posiadania tylko osób pracujących intellektem, z poważnej strony na życie się patrzących. Dziś w nich bytuje Balzac naszego pokolenia, Reymont, Homer piastowskich autochtonów. Te to meble tak spokojne w swej dystynkcyi, tak jednoczące się ze ścianami, obrazami, księgami w jedną całość, w jeden ton twórczego spokoju i skromnego dostatku zmuszają świetnego pisarza powieści epopeicznych, że z „latającego Holendra" zwolna przekształca się w osiadłego obywatela wielce uroczego miasta Warszawy. Żegnamy się z meblami, które przynoszą zaszczyt E. Trojanowskiemu i wnet sprowadzą mu na głowę moc obstalunków, próśb, propozycyi i błagań...

Od antresoli Karola Tichego idąc w lewo, mamy kolejno fragment z westibulu w rezydencyi mera Krakowa z meblami, poczekalniowymi kanapami, urzeczywistnionymi według zachwycających szkiców Józefa Czajkowskiego. Wytworność kojarzy się tu z prostotą, by podbić i zniewolić całkiem widza. Tegoż kunsztarza pokój stołowy żółto-zielono-jesionowy wprost imponujący. Wielkie wnętrze Mehoffera jest już raczej kaplicą pałacową, czy sanktuarium rodzinnem, biblioteką o nastroju poważnym, religijnym. Kosmiczna kolorystyka Mehoffera, ujęta w dyscyplinę witrażowej linii, żywiołowa stubarwność tego jakby średniowiecznego mistrzu, w tem wnętrzu manifestują się może najsilniej. Tem by się zachwycił i J. K. Huysmans i Anatol France spocząłby tu z rozkoszą. Tu jest oaza dla kontemplacyi wyniosłych i oddalonych znacznie od pogody rozkosznych pokoiczków w sąsiedztwie. Tu przemawia do nas potentat o szczytowych ideałach artystycznych, artifex et asceta. Tu powinny grać cicho organy a wielki mszał winien leżeć na dębowym pulpicie. Jeżeli już koniecznie ma się budować nowe kościoły na tych biednych naszych ziemiach, to profesorowi Mehofferowi trzebaby oddać nad nimi kontrolę, by przechowały średniowieczną powagę i ton metafizycznych schronisk. Jego wnętrze to wystawy niniejszej kopuła i chluba.

W wielkiej sali bocznej szereg witryn z książkami. Tu króluje bez konkurencyi Jan Bukowski. On wiąże nanowo nici z artystycznemi tradycyami książek Grölloskich i Dufouroskich a jeszcze wstecz idąc z wspaniale estetycznemi wydawnictwami starych imprimatorów, drukarzy krakowskich i wileńskich. Kilka jego kunsztu okładek zyskały sobie słowa najwyższego uznania na wystawach zagranicznych t. j. tam, gdzie książka estetyczna nie jest fenomenem, ale stała się potrzebą wyższej warstwy umysłowej.

Wiele tu, wiele jeszcze rzeczy podziwiać można i trzeba. Kilimy E. Trojanowskiego, Tichego, Warchałowskiego, Brzozowskiego, niektóre coprawda nieco monotonne i ściśle ograniczające się do działania tylko barwą skutkiem czego szybko opatrzone i wprost nużące. Słusznie odżegnują się artyści od elementu, zwanego literaturą w obrazie, niesłusznie zapędzają się w drugą ostateczność przekornego dysonansu w liniach, protestantyzmu w kolorach kilimów i całkiem nawet pod malarskim względem bezmyślnego układu półbarwnych. Apellowanie do autorytetu wyrobów ludowych dowodzi tylko, że lud miał i ma szczupłą pomysłowość, niczego więcej. Bardzo sympatyczną emocyę wywołują okienkowe witrazyki Anny Gramatykówny. Radość bierze na widok techniki majolikowej mocnego rzeźbiarza Szczepkowskiego. Pana Noakowskiego, sądząc po jego projektach imaginacyjnej restytucyi komnat Wawelskich, chciałoby się koniecznie odbić moskiewskiej szkole Strogonowskiej, gdzie jest profesorem sztuki stosowanej, a zyskać powrotnie dla kraju. Karol Maszkowski zapowiada się, sądząc po projekcie ściany nad tęczą sklepienia, jako pierwszorzędna siła w zdobnictwie i dekorowaniu kościelnem; zestawiając jego pomysły z modelem kościoła rzeźbiarza Otta, można się w najbliższych czasach spodziewać współpracy obu w podźwignięciu jakiegoś polskiego tumu.

Całość Wystawy przekonywa, że Sztuka stosowana wyszła już z fazy „kogutkowej", z forsownego przeładowywania swych wytworów elementami ludowymi, branymi ze skrzyń, fartuchów, łyżników wprost i nadmiarę. Również maniactwo zakopiańskiego stylu niece ochłodło. Obecnie motywy brane z obfitych materyałów zdobniczej sztuki ludowej ulegają szczęśliwej selekcyi, całkowitym przetrawieniom i transformacyom: „kogutki" pojawiają się nie tak masowo, Bronowice nie są jedyną Golkondą motywów a poza zbożny kult dla „cudowności" artystycznych i „smaczków" zielonych skrzynek szczęśliwieśmy wyszli.

Wystawa obecna sztuki stosowanej przypomina znonu dzisiejszej Warszawie, że nie tylko z „Pociejowa" szły meble, że tu znajdowały się niegdyś w domach wnętrza,gdzie wszystko bywało stylowe i piękne; przypomina czasy gdańskich szaf, ćmielowskiej porcelany, słuckich pasów, kolbuszowskich biurek i kantorków. Wszystko, co tu się widzi ze swojskiego materyału tutejsze ręce dokazały; Obywatele Sydor i Piela z Krakowa, obywatele Drążkiewicz i Szczerbiński z Warszawy, zakłady witrażowe Białkowskiego (Warszawa) St. Żeleńskiego (Kraków), kilimy wszystkie na najlepszej wełnie pani Sikorskiej. Artyści przepojeni duchem i ideami Ruskina, Morrisa, W. Crane to w połowie królewiacy w połowie z „pod Austryaka". Jeżeli teraz zważymy, że,

po primo sztuka stosowana najgoręcej potrzebuje materyalnego poparcia i finansowych fundamentów,

po secundo, że fundamenta te zyskać może tylko, osiadłszy w Królestwie, czy w Warszawie,

pro tertio, że właśnie tego rodzaju ognisko artystyczne bardzoby się przydało w żywotniejszej, ruchliwszej, majętniejszej Warszawie,

pro quarto, zaś że tutejsza Szkoła Sztuk Pięknych po czteroletniej egzystencyi nie zapowiada niezwyczajnie świetnych rezultatów — nie zadziwi chyba nikogo niniejszy projekt: *reorganizacyi tutejszej wegetującej szkoły na bardziej nowoczesną szkołę sztuki stosowanej z powołaniem sił fachowych, przeważnie tutejszych poddanych na stanowiska kierownicze.* W ten sposób bowiem położy się tamę wzrostowi proletaryatu malarskiego, produkowaniu zapoznanych Leonardów, epigonów,parodystów,naśladowców manier, kompilatorów ruszczyzny z secesyonizmami i karykaturzystów kontorsyonistycznej rzeźby; zdolne jednostki wciągnie się i wprzęgnie w pracę rzetelną, społeczeństwu i Sztuce istotnej pożyteczną.

Ci, co złożyli pewne fundusze przeważnie tak na jedną, jak i drugą instytucyę artystyczną po rezultatach pracy Bractwa Sztuki Stosowanej przekonają się, że ten projekt niżej podpisanego nie jest bez racyi.

Adolf Nowaczyński.

SPRAWY EKONOMICZNE

Robotnicy i inspekcya fabryczna.

*

Historya angielskiego prawodawstwa fabrycznego dowiodła, że wszystkie prawa, wydawane dla obrony robotników od eksploatacyi nadmiernej, mogą mieć istotne zastosowanie tylko w tych krajach, gdzie są silne związki robotnicze z jednej strony i dobrze zorganizowana inspekcya fabryczna z drugiej.

Wbraku tych warunków nawet stosunkowo dobre prawodawstwo robotnicze istnieje bardzo często tylko na papierze, oszukując opinię publiczną i dając tem samem powód do ciężkich, często krwawych zatargów pomiędzy pracą a kapitałem a następnie pomiędzy klasą robotniczą a władzą państwową. Wobec tego krótkowzroczni działacze państwowi wszystkich krajów, starając się dogodzić, wstecznie usposobionej części przedsiębiorców i, kierując się zasadą „apres nous le déluge", uciekali się do tej taktyki, że stwarzali na papierze stosunkowo daleko idące prawodawstwo robotnicze a jednocześnie utrudniali rozwój kontrolujących prawodawstwo to organów: związków robotniczych i inspekcyi fabrycznej.

Do krajów takich należały niedawno jeszcze Niemcy, gdzie Bismark, starając się zaszczepić robotnikom przywiązanie do Hohenzollernów, stworzył postępowe prawodawstwo robotnicze a z drugiej strony wydał prawa wyjątkowe przeciwko socyalistom, uniemożliwiające legalną działalność związków zawodowych.

Nadzwyczajnie szybki wzrost żywiołów opozycyjnych znacznie zmienił charakter polityki socyalnej Niemiec; związki zawodowe robotnicze, uważane dotąd za wrogów „przemysłu i porządku publicznego" i ścigane wszelkimi, możliwymi środkami przez policyę i administracyę, zaczęły korzystać w ostatnich latach w wielu państwach niemieckich nawet z poparcia rządu, który dopatrzył się w nich stronników ewolucyi społecznej.

Taka sama zmiana poglądów rządu zaszła w większości państw niemieckich w stosunku do inspekcyi fabrycznej. Zadaniem głównem inspekcyi fabrycznej było odwiedzanie przedsiębiorstw przemysłowych; przy tem do roku 1891 inspektorowie fabryczni ograniczać się musieli prawie wyłącznie do nadzoru nad tem, czy przestrzegane są przepisy, dotyczące pracy dzieci, wyrostków, położnic. Po zatem nad warunkami pracy roztaczano nadzór o tyle tylko, by nie były one zbyt szkodliwe dla zdrowia i życia robotników.

Od roku 1891 sfera kompetencyi inspektorów fabrycznych została znacznie rozszerzoną: przeszły pod ich zarząd po części przedsiębiorstwa drobne a nawet przemysł domowy, o ile w pracy udział brały prócz rodziny osoby postronne. Dalej sfera kompetencyi inspekcyi fabrycznej rozszerzona została wskutek wydania nowych aktów prawodawczych, reglamentujących pracę w święta i niedziele, wypadki nieszczęśliwe z z robotnikami itd.

Bez względu na to, iż dzięki rozszerzeniu kompetencyi inspekcyi fabrycznej powię-

kszyła się możliwość starć z fabrykantami z powodu tych lub owych wykroczeń przeciwko przepisom obowiązującym,stosunki inspekcyi fabrycznej z fabrykantami nie miały cech nawet w drobnej części tak wrogich, jak w pierwszych latach po jej stworzeniu. Obecnie, — pisze szef inspekcyi fabrycznej badeńskiej, — inspekcya fabryczna posiada znakomitą organizacyę, wiadomości zaś o jej działalności i prawach oddawna już przedostały się do wszystkich warstw ludności: inspekcya fabryczna uważana jest za coś, czego konieczność rozumie się samo przez się. Przemysłowcy wiedzą teraz, że inspekcya fabryczna, chociaż nie ma bezpośredniego prawa egzekutywy, jest jednak siłą poważną, opartą nietylko na prawie papierowem, ale na niezwyciężonej zasadzie społecznej; w stosunku zaś do robotników inspektor fabryczny jest rzecznikiem praw, stworzonych dla obrony ich interesów. Wszystko to zostało osiągnięte, — jak twierdzi obecny szef inspekcyi fabrycznej badeńskiej, — tylko dzięki temu, że ona od początku swego istnienia nie ograniczała się do dawania „dobrych" rad przedsiebiorcom, jak to nakazywało stworzone przez Bismarcka prawo, lecz odwrotnie, we wszystkich wypadkach, kiedy tych dobrych rad nie wykonywano, niezwłocznie przy pomocy władzy administracyjnej, przedsiębrała odpowiednie kroki dla wykorzenienia radykalnie wszelkich przekroczeń prawa.

Charakterystycznem jest, że żale fabrykantów na to, iż inspekcya fabryczna rujnuje przemysł daleko idącemi wymaganiami w zakresie hygieny fabrycznej, okazały się płonne, gdyż ilość fabryk i ilość zatrudnionych w nich robotników znacznie wzrosła.

Zupełnie to samo zjawisko konstatuje szef inspekcyi fabrycznej badeńskiej w stosunku do obaw fabrykantów z powodu skrócenia dnia roboczego i odpoczynku świątecznego: pod wpływem inspekcyi fabrycznej z jednej strony i szybko rozwijających się związków zawodowych z drugiej, w Wielkiem Księstwie Badeńskiem ani razu nie stwierdzono przedłużenia dnia roboczego w fabryce, natomiast skrócenie nastąpiło prawie we wszystkich gałęziach przemysłu; przytem działo się to często z zapoczątkowania samych fabrykantów, otwarcie przyznających w rozmowach z inspektorami fabrycznymi, że skrócenie dnia roboczego powoduje polepszenie ilościowe i jakościowe wytwarzanych towarów. Dzięki temu i płaca zarobkowa robotników, pomimo skrócenia dnia roboczego wzrastała. Zakaz pracy w niedziele w wielu gałęziach przemysłu do tego stopnia oburzył przedsiebiorców niemieckich, że zaczęły się rozlegać ich wołania, domagające się wyłączenia z prawa ogólnego to tej, to owej gałęzi przemysłu. Jednak działalność związków zawodowych i wytrwałość inspekcyi fabrycznej w ściganiu wykroczeń przeciwko prawu, doprowadziły do tego, że już stosunkowo w krótkim czasie, bo w jakieś pięć lat po ogłoszeniu nowych przepisów, inspekcya fabryczna mogła stwierdzić, że przedsiebiorcy starają się unikać pracy w niedziele nawet w tych wypadkach, kiedy prawo na nią pozwala.

Oczywiście tak pomyślne wyniki osiągnąć się dało tylko dzięki temu, że rząd Wielkiego Księstwa Badeńskiego szczerze pomagał swojej inspekcyi; bez poparcia rządu najlepsze usiłowania inspektorów fabrycznych na nic się nie zdadzą. W Rosyi np. przez pierwsze cztery lata istnienia inspekcyi fabrycznej, to jest od r. 1882 do 1886 inspektorowie fabryczni ogłaszali szczegółowe sprawozdania ze swej działalności; sprawozdania te dawały obraz całkowity ruchu robotniczego. Ministeryum spraw wewnętrznych zamiast wysnuć z tych sprawozdań odpowiednie wnioski, zakazało ich ogłaszać, a chociaż, od r. 1892 znowu pozwoliło, to jednak w nowych sprawozdaniach mamy do czynienia już tylko z suchemi cyframi, z których niewiele wywnioskować można.

Jednem z głównych zadań inspektorów fabrycznych jest odwiedzanie podlegających ich nadzorowi zakładów przemysłowych; tymczasem ze świeżo ogłoszonego sprawozdania inspektorów fabrycznych rosyjskich za rok 1904 widzimy, że trzecia część fabryk nie była ani razu zwiedzona. Cóż dziwnego, że przy takim stanie rzeczy robotnicy nie mają zaufania do instytucyi, przeznaczonej dla ich obrony i że coraz rzadziej uciekają się do jej pośrednictwa przy zatargach z przedsiebiorcami.

Zmieni się to dopiero wtedy, gdy członkami inspekcyi fabrycznej będą robotnicy wybierani przez ogół towarzyszów, a przedstawiciel władzy administracyjnej grać będzie co najwyżej rolę superarbitra.

Piotr Wilamowski.

ODEZWA.

Tow. Kultury Polskiej rozpoczyna zbieranie własnej biblioteki. Taki zbiór nie da się zgromadzić dotychczas posiadanemi siłami i środkami naszej instytucyi; więc odwołujemy się do społeczeństwa, prosząc osoby prywatne, autorów, wydawców, stowarzyszenia o nadsyłanie nam (*Krucza 9*) wszelkich dzieł i broszur w języku polskim, a w obcych o tyle, o ile one dotyczą spraw i przedmiotów polskich. Nadto pożądane są dla nas statuty, katalogi, sprawozdania szkolne, literackie, przemysłowo-handlowe, wogóle wszelkie druki informacyjne. Księgozbiór nasz od chwili, w której dojdzie do takiego zasobu, że będzie mógł służyć użyteczności publicznej, otwarty będzie dla wszystkich, którzy z niego korzystać zechcą. Mamy przytem nadzieję, że badacze kultury polskiej znajdą w nim najobfitszy i jedyny materyał dla studyów. Ponieważ biblioteka nasza zawierać będzie tylko planowo określony dobór dzieł, dotyczących kultury polskiej, wszystkie przeto ofiarowane nam książki, które do tego doboru nie wejdą, oraz duplikaty rozsyłać będziemy do czytelń oddziałów Towarzystwa. Z tych darów utworzą się rozmieszczone w rozmaitych punktach kraju księgozbiory, których on tak bardzo potrzebuje i które są tak ważnym czynnikiem rozwoju kultury.

KRONIKA.

Sprawy polityczne i społeczne. Stronnictwo odrodzenia pokojowego uznało budowę nowych pancerników rosyjskich obecnie nie na czasie.

— *Now. Wr.* podało następujące obliczenie, ile kosztuje naród dotychczasowa „praca" III Dumy: „Ogółem Duma posiada 26 komisyj. Posiedzeń plenarnych było 14. Opracowano 17 referatów. Wszystkie te referaty, razem wzięte, utworzą 34 stronice druku. Honorarya, jakie wypłacono posłom od czasu otwarcia Dumy, wynoszą około 350,000 rb. Razem więc przypada po 10,000 rb. honoraryum za 1 stronicę tych referatów, będących w większości wypadków zwykłem powtórzeniem odnośnych wniosków ministeryalnych. Według obliczenia bliższego przypada po rb. 3 za każdą literę referatu.

— W roku zeszłym minęło lat 50, jak zakłady żyrardowskie przeszły na własność pp. Hielle i Dittricha, z tej okazyi p. Karol Diettrich ofiarował: 10,000 rb. na wewnętrzne urządzenie nowego kościoła katolickiego; 30,000 rb. na powiększenie funduszów założonego przez siebie przytułku dla starych robotników; 158 robotnikom i robotnicom rozdano książeczki oszczędnościowe fundacyi Karola Augusta Diettricha. Reszta ofiarowanego kapitału przeznaczona została na budowę kąpieli dla dzieci z ochrony fabrycznej, oraz na inne cele czysto robotnicze.

— W Krakowie powstało stowarzyszenie pod nazwą „Straż polska", którego celem ma być: strzeżenie i obrona duchowych i materyalnych interesów narodowych polskich, uświadamianie społeczeństwa polskiego o obowiązkach narodowych, dążenie do samodzielności ekonomicznej.

— W sekcyi do spraw wychodźstwa polskiego przy Tow. Kul. pol. (Krucza 9) postanowiono: 1) zebrać informacye o ruchu wychodźczym u floty ochotniczej i wejść z nią w porozumienie, aby ruch wychodźczy skierować zamiast przez porty niemieckie—na Libawę 2) wysłać delegatów do Danii i Prus dla zbadania obieżyświatwa; 3) rozesłać kwestyonaryusz w sprawie wychodźstwa; 4) opracować i wygłosić w sprawie ruchu wychodźczego szereg referatów.

— *Ruś* wydrukowała list Sienkiewicza w sprawie wywłaszczenia Polaków w Prusach i podała jego paryski adres dla nadsyłania odpowiedzi.

— Projekt wywłaszczeniowy nie znalazł wielu zwolenników w pruskiej izbie panów; przemawiał przeciw niemu i kardynał Kopp; projekt przekazano komisyi.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wyjaśniło niedawno — jak piszą *Birż. Wied.*—że członkowie partyi K.-D., jako stowarzyszenia nielegalizowanego, nie mogą zajmować urzędów państwowych, więc i stanowisk nauczycieli ludowych.

Zaburzenia i zamachy. Fabryki, zakłady przemysłowe i banki w Sosnowcu zostały zawiadomione, że z dn. 14 lutego będzie zniesiona ochrona wojskowa tych instytucyj i że wolno im będzie utworzyć ochronę własną na wzór wprowadzonej w Łodzi.

— Na zebraniu akcyonaryuszów litewskiego dziennika *Vilniaus Zinios* zjawił się rewirowy i zabronił obradowania w języku litewskim, ponieważ zgromadzeni nie chcieli mówić po rosyjsku, zebranie zamknięto i protokół spisano.

Aresztowania i kary. Z pociągu kolei dąbrowskiej wyskoczył więzień i usiłował zbiedz, lecz pociąg natychmiast zatrzymano a znajdująca się w nim „ochrana" wojskowa zbiega przytrzymała.

— W nocy z 26 na 27 stycznia policya aresztowała w Sosnowcu około 25 osób i pod silną eskortą odstawiła wszystkich do aresztu w Będzinie.

— Z ratusza do różnych miejscowości w Cesarstwie wysłano 13 osób; 17 nakazano opuścić Królestwo na cały czas trwania stanu wojennego.

— W jednym z domów przy ul. Gęsiej aresztowano 10 ludzi pod zarzutem należenia do anarchistów-ko- [illegible].

— Sąd wojenny skazał Kiłaczyckiego, oskarżonego o udział w zabójstwie dyr. kolei nadwiślańskich, Iwanowa, na 6 lat katorgi.

Bandytyzm. Na kantor Towarzystwa francusko-rosyjskiego w Dąbrowie Górniczej napadła szajka bandytów i zrabowała 10,000 rb.

— W Lublinie bandyci dopuścili się zuchwałego napadu na sklep Halperna; gdy zaalarmowana policya pojawiła się, bandyci przyjęli ją gradem kul i w za- [illegible]

— W cukrowni „Elżbietów“ w gub. Siedleckiej robotnik rzucił się z nożem na wicedyrektora fabryki za to, że był na liście tych, których miano wydalić z powodu [illegible]

— Dn. 28 stycznia banda rozbójników napadła na dwór w Bielinie pod Tomaszowem rawskim; właściciela Henryka Wernera i jego żonę zamordowali, dzieci uniknęły śmierci, gdyż niańka ukryła je pod łóżkiem, następnie bandyci zrabowali dom i bezkarnie odeszli.

— Dn. 30 stycznia przy wyjściu z fabryki zamordowany został Henryk Hantke, przemysłowiec i dyrektor Tow. akc. zakładów B. Hantke. W chwili dokonania morderstwa na ulicy przed bramą fabryki czekała tylko dorożka, którą Hantke miał odjechać. Zabójcy rozbiegli się niezatrzymani. Następnie w fabryce dokonano rewizji i aresztowano kilkudziesięciu robotników. Przyczyna zabójstwa zdaje się tkwić w zatargach ekonomicznych z robotnikami.

— W Sosnowcu na dyrektora zakładów tow. „Renard“ napadli dwaj ludzie i poranili go ciężko.

Sprawy szkolne i oświatowe. *Riecz* informuje, że żaden z wyrzuconych w listopadzie studentów uniwersytetu kijowskiego przed jesienią przyjęty nie będzie.

Prasa. Wychodzący w Kijowie polski tygodnik *Świt* został skazany na 500 rb. kary.

— Za statystykę represyi sądowych przedrukowaną z gaz. *Nasz Wiek* redaktor dziennika *Jużnyj Kraj* skazany został na 600 rb. grzywien.

— Redaktor odpowiedzialny *Farmacyi* skazany został na 25 rb. kary za artykuł p. t. „Błędne szlaki“.

Wiadomości ekonomiczne. W Łodzi przedsiębiorcy podpisali ogromną ilość kontraktów na budowę nowych domów, ponieważ robotnicy nie stawiają już wygórowanych żądań.

— Do rozporządzenia komisyj rolnych w gub. wileńskiej oddano rządowych gruntów leśnych 6,162 dzies. i różnych innych 2,011 dzies., razem 8,173 dz. w gub. kowieńskiej leśnych gruntów 1,721 dzies. i różnych innych 1,243 dzies., razem 2,964 dzies.

Koleje i komunikacye. Podobno ministeryum komunikacyi postanowiło częściowo przywrócić język rosyjski na kolei warsz. wied.

Dziwy atmosferyczne. Dnia 28 stycznia o godzinie $4\frac{1}{2}$ po południu niebo pokryło się chmurami, przeleciała błyskawica, rozległ się grzmot i padł piorun. Zjawisko wywarło duże wrażenie.

Zmarli. Ludwika de la Ramée, powieściopisarka angielska, znana pod pseudonimem Ouida. Ostatnie lata spędziła ona w zapomnieniu i prawie w niedostatku. Zmarła we Włoszech w 78 roku życia.

OGŁOSZENIA.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska.** Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.